

Patricia Robertson

Niewinne kłamstwo

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Ben Kendricks powiedział mi dzisiaj, że zrezygnował z ratowania nieuleczalnie chorych na raka, bo to zbyt wyczerpujące psychicznie, a nie daje efektów. Jak twierdzi, nie żałuje, że przestał pracować na onkologii i przeszedł do nas, na chirurgię - powiedziała Sally Travers, siostra przełożona, z łoskotem stawiając tacę z porcją sałatki i jogurtem na stole. Była wraz z Laurą w stołówce dla personelu.

Laura z namysłem odłożyła sztucce na talerz i wolno sączyła mleko.

- Nie obchodzi mnie, co Ben porabia ani dlaczego - odparła. - Wolałabym, żeby został w Londynie.

Naprawdę tak uważała. Nie chciała się z nim kontaktować, zwłaszcza po tym, jak potraktował jej męża. Była na siebie zła, bo samo wspomnienie tego mężczyzny wzbudzało w niej dziwnie przyjemne drżenie. Działał tak na nią zawsze, odkąd tylko mąż poznał ich z sobą, zaraz po ślubie. Podniecenie mieszało się z niechęcią wobec własnej słabości, bo z powodu tych niezrozumiałych doznań nie spała po nocach. Przecież kochała Davida, nic więc dziwnego, że niepokoiło ją mimowolne zainteresowanie człowiekiem, który, co gorsza, był jego przyjacielem.

Kiedy dowiedziała się od Sally, że Ben ma podjąć pracę w Ledborough, wpadła w popłoch. Pocieszała się wprawdzie, że będą przecież pracować na różnych oddziałach, a jeśli nawet przyjdzie zbadać jakiegoś pacjenta, przyprowadzi z sobą pielęgniarkę, więc uda się uniknąć spotkania sam na sam.

- Nie rozumiem, dlaczego tak go nie lubisz - dziwiła się Sally, wbijając listki sałaty na widelec.

- Czy stosowana przez ciebie dieta jest skuteczna? - zainteresowała się nagle Laura.

- Oczywiście, ale nie zmieniaj tematu - odparła Sally, nie spuszczać oka z przyjaciółki. - Przecież twój mąż nie żyje już od dwóch lat, więc nie ma sensu dłużej mieć do Bena żalu.

- Żalu?! Nawet nie próbował namówić Davida na... - łzy napłynęły do oczu Laury - ...chemioterapię, kiedy już było wiadomo, że to nowotwór - dokończyła z trudem.

- Wiem, ten rodzaj raka jest nieuleczalny, ale dzięki chemioterapii David mógłby przynajmniej zyskać kilka lat. Zapewniał mnie o tym inny lekarz, już po jego śmierci.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś. Dlaczego nie złożyłaś skargi u ordynatora?

- David prosił, żebym nie obwiniła Bena - westchnęła ciężko. - Widocznie podejrzewał, że będę miała pretensje. Musiałam uszanować jego życzenie.

Pamiętała, jakby to było wczoraj. Benjamin Kendricks, który pełnił funkcję konsultanta na onkologii w londyńskim szpitalu, powiedział szorstkim tonem:

- Nic na to nie poradzę. Musisz się pogodzić z jego bliską śmiercią.

Te słowa na zawsze zapadły jej w pamięć. Sytuację pogarszała niechęć do samej siebie, bo nawet w tamtej dramatycznej chwili, podczas rozmowy z Benem, czuła narastające pożądanie. To wspomnienie zachowa jednak dla siebie, nie wolno się nim dzielić nawet z przyjaciółką.

Sally pochyliła się nad stolikiem, wyciągając rękę do Laury.

- Przykro mi - odezwała się skruszona. - Wybacz... Wyglądała na tak strapioną, że Laura roześmiała się.

- Nie ma sprawy. Co ja bym bez ciebie zrobiła? Przyjechałam do mieszkania, kiedy ojca delegowano do Kanady i rodzice wyjechali. Cierpliwie znosiłaś moje humory, kiedy dowiedziałam się, że Ben jest wykonawcą testamentu Davida.

Ten fakt do dziś napełniał jej serce goryczą. Mąż był od niej piętnaście lat starszy i kierował się dawnymi zasadami. Powiedział, kogo wyznaczył na egzekutora swojej ostatniej woli, kiedy był już bardzo chory. Nie chciała się z nim spierać, chociaż nie aprobowwała jego pomysłu.

Gdy umarł, okazało się, że ograniczył konto w ten sposób, by nie mogła dysponować pokaźną sumą, którą odziedziczył po dziadku, bez konsultacji z Benem. Dopiero przeczytawszy testament zrozumiała, dlaczego powiedział:

- Chcę być pewien, że po mojej śmierci nikt cię nie wykorzysta. Ufam ci, ale jest tylu mężczyzn, którzy poleciliby na twoje pieniądze.

Była wtedy zbyt zrozpaczona bezsilnością wobec postępującej choroby Davida, jednocześnie próbowała przed nim to ukryć, więc nie pytała, co ma na myśli. Że też musiał powierzyć opiekę nad nią swemu najlepszemu przyjacielowi! - pomyślała po raz chyba tysięczny.

Jej twarz złagodniała na wspomnienie opiekuńczości małżonka. Tym właśnie najbardziej ją ujął, kiedy się spotykali w okresie narzeczeństwa. Skąd mogła wiedzieć, że po ślubie jej niezależny duch zacznie się buntować? Jakże często z trudem powstrzymywała się od wzniecania przykrych kłótni!

David niechętnie rozmawiał o swojej chorobie.

- Nie chcę, żebyś się zadreczęła z tego powodu - mówił, uśmiechając się przy tym, jakby chciał ją pocieszyć.

To typowe dla niego: kompletny brak egoizmu i ogromna troska o innych.

Laura nie była jednak potulna. Wyszła wtedy z sali po zakończeniu wizyty i dogoniła Bena. Opuszczał już szpital.

- A chemioterapia? Może to by go uratowało? - zapytała nerwowo.

- Chemioterapia nie pomoże twojemu mężowi - odparł z kamienną twarzą i odszedł pośpiesznie.

- Mógłby zyskać chociaż kilka lat! - krzyknęła za nim zdesperowana.

Przystanął na chwilę, ale szybko odwrócił się i zniknął, zostawiając ją samą.

Spoglądając na strapioną twarz Sally, wróciła na ziemię.

- Szkoda, że nie jesteśmy siostrami - powiedziała. Sally uśmiechnęła się wreszcie.

- Zrobię dziś kolację - zaproponowała, kiedy wyszły na korytarz i stanęły przy windzie.

- Pod warunkiem, że nie będzie dietetyczna - zastrzegła z uśmiechem Laura.

Pochyliła się nad pacjentką na oddziale urazowym, kiedy dostrzegła na kołdrze duży cień. Obejrzała się i zobaczyła Bena Kendricksa. Stał nad nią, wysoki, ciemnowłosa, niezwykle przystojny, jednym słowem - mężczyzna z marzeń wielu kobiet. Koleżanki zachwycaly się jego urodą. Ona wolałaby nie spotkać go nigdy więcej.

- Czy jest tu gdzieś pielęgniarka do pomocy? - zapytał. Spojrzała na niego obojętnie.

- Siostrę Jackson znajdziesz w dyżurce - poinformowała oschle.

- Zaglądałem tam przed chwilą, ale nikogo nie zastałem - rzucił ze złością, jakby się chciał zrewanżować pięknym za nadobne.

Patrząc na nią, zastanawiał się, jakim cudem zakochała się niegdyś w Davidzie Osbournie, który był typem naukowca, człowiekiem spokojnym i łagodnym, zupełnym przeciwieństwem tryskającej energią Laury. A może właśnie ujął ją łagodnym usposobieniem?

Nie była pięknnością, ale emanowała jakąś dziwną siłą, witalnością, która go porażała. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, zwrócił uwagę na jej jasnobrązowe kręcone włosy, które teraz sięgały ramion, układając się w fale.

To nie twarz pociągała mężczyzn, którzy oglądali się za nią. Urzekła ich wspaniałą figurą i erotyzmem, jaki z niej emanował.

Ben uczestniczył właśnie w konferencji medycznej w Ameryce, kiedy David do niego zadzwonił.

- Poślubiłem wspaniałą dziewczynę. Przykro mi, ale za długo musielibyśmy czekać na twój powrót, więc poprosiliśmy na drużbę kogoś innego - mówił głosem przepełnionym szczęściem. - Poznałem ją zaledwie trzy tygodnie temu i zakochałem się od pierwszego wejrzenia.

- Czy na pewno wiesz, co robisz? - spytał przyjaciel z powątpiewaniem.

W gruncie rzeczy pocieszał się jednak, że David jest rozsądny i nie podejmuje pochopnych decyzji.

- Oczywiście. Sam przyznasz mi rację, kiedy poznasz Laurę.

Zobaczył ją zaraz po powrocie z Ameryki. Już podczas pierwszego spotkania wywarła na nim tak silne wrażenie, że od tamtej pory unikał obojga w obawie, iż David się czegoś domyśli. Potem u przyjaciela rozpoznano raka. Ben był wtedy jego lekarzem. Tuż przed śmiercią chory powierzył mu sprawę, która okazała się wielce kłopotliwa, ale nie potrafił mu odmówić.

- Idź jeszcze raz, może już przyszła - poradziła mu teraz Laura, schylając głowę, żeby nie dostrzegł rumieńców na jej twarzy.

Chociaż zbliżało się południe, a Ben zdążył od rana przeprowadzić kilka poważnych zabiegów, wyglądał jak zwykle nieskazitelnie. Tym razem miał na sobie elegancki garnitur w drobne prążki i brązowy krawat, z którym kontrastowała lśniąca biel koszuli.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by w jej pamięć wrył się każdy szczegół: piwne oczy, zadziwiająco jasna skóra przy

włosach czarnych jak heban, ozdobionych kilkoma pasemkami siwizny.

Laura wiedziała, po co przyszedł. Słyszała już, że przywieziono młodego mężczyznę z podejrzeniem zapalenia wyrostka robaczkowego.

- Dzięki - odparł Ben z sarkazmem, po czym wyszedł z sali.

Wsluchiwała się w kroki na korytarzu i długo nie mogła się skoncentrować na pracy.

- Wszystko będzie dobrze, niech się pani nie martwi - zwróciła się do pacjentki, oglądając jej obrzękły nadgarstek. - Czy tak jest wygodniej? - spytała po usztywnieniu ręki.

- O wiele lepiej, dziękuję - odpowiedziała kobieta i jej twarz rzeczywiście się rozpogodziła. - Całe szczęście, że nie ma złamania. Jutro wyjeżdżam na urlop. Teraz aż trudno mi uwierzyć we własną głupotę. Stałam na parapecie, żeby zsunąć firanki. Zupełnie zapomniałam, że brzeg jest zaokrąglony, przesunęłam się za daleko i... wiadomo, co się stało.

- Zdaniem lekarza szyna nie będzie pani potrzebna, ale trzeba trzymać rękę zgiętą w łokciu, a siedząc najlepiej oprzeć ją na poduszce - radziła Laura. - Opuchlizna na pewno prędko zniknie, a wtedy można zrezygnować z podpórki - wyjaśniła, pomagając pacjentce włożyć kurtkę. - Gdyby jednak cokolwiek panią zaniepokoiło, proszę wezwać lekarza.

Po wyjściu chorej zamierzała uporządkować dokumentację, ale ledwo zaczęła ją przeglądać, weszła siostra Pearson.

- Jest pani proszona do doktora Kendricksa. Ma jakiś problem z pacjentem...

- Już idę - rzuciła, wściekła w duchu.

Ruszyła na koniec korytarza. W małej sali leżał jakiś nastolatek ubrany w dzinsy i brudny podkoszulek. Był

skulony, miał podkurczone nogi, a jego uwalane błotem buty były bardzo zniszczone. Laura dostrzegła nawet dziurę w jednym z nich. Powinien zdjąć te buciory, pomyślała ze złością. Jednocześnie jednak żał jej było chłopaka, bo siostra Pearson nawet nie dała mu koca. Postanowiła zganić ją przy najbliższej okazji.

Ben natychmiast zauważył, że jest zła.

- Przepraszam, że zakłócam ci spokój - powiedział.

- Nie szkodzi - odparła, siląc się na obojętny ton. Spojrzeli na siebie równocześnie, ale jęk pacjenta szybko przywrócił ich do rzeczywistości. Nie miejsce i nie pora na wzajemne dąsy. Co do tego przynajmniej byli zgodni, chociaż żadne nie wiedziało, o czym myśli drugie.

Odwrócili się do chorego. Z podanych jej notatek wynikało, że dziewiętnastoletni Robert Wilson nie ma stałego miejsca zamieszkania, a w dodatku nie chce podać adresu rodziców.

Westchnęła. Kolejny bezdomny, pomyślała ze współczuciem, wpatrując się w bladą, wymizerowaną twarz chłopca. Na ulicach Ledborough sporo było żebrzących nastolatków. Co mu dolega? - zastanawiała się, stając po drugiej stronie łóżka, naprzeciwko Bena.

- Odwróć się na plecy, Robercie - poprosiła. Delikatnie pomogła mu zmienić pozycję, a kiedy się nad nim pochyliła, zamarła. Chłopak był bardzo podobny do Davida: twarz o takim samym kształcie i wyrazie niezmiernej powagi, nawet włosy tak samo jasne, a oczy niebieskie, jak u jej zmarłego męża.

- Siostro - usłyszała nad sobą ostry głos Bena. Podniosła głowę i spojrzała na niego nieobecny wzrokiem, bo nie jego widziała, lecz Davida, kiedy leżał w szpitalu...

Uplęnęła dłuższa chwila, zanim oprzytomniała, a wtedy uświadomiła sobie wreszcie obecność Bena, co tylko



spotęgowało jej złość. Znow powróciły myśli o jego zdradzie, bo przecież nie pomógł Davidowi do końca.

- Zbadajmy pacjenta - zdecydował, wyrywając ją z zamyślenia.

Nie miała wątpliwości, że odgadł, co zaprzęta jej myśli. Chory chłopak potrzebował jednak pomocy i to pomogło jej opanować złość.

- Muszę odpiąć dzinsy - powiedziała z uśmiechem do Roberta. - Doktor chce zbadać brzuch.

Chłopak zarumienił się i poruszył niespokojnie.

- Sam to zrobię - odrzekł.

Mówił z poprawnym akcentem, jak ktoś, kto skończył dobrą szkołę prywatną. Podnosząc mu podkoszulek, żeby Ben łatwiej dotarł do żołądka, zastanawiała się, co taki młodzieniec, prawdopodobnie z zamożnego domu, robi na ulicach dzielnicy nie cieszącej się dobrą sławą.

Ben badał chorego wprawnymi, silnymi dłońmi, jakże przydatnymi w pracy chirurga. Obserwowała go, gdy delikatnie dotykał pacjenta i nagle ogarnęła ją fala dziwnego gorąca i tęsknoty, co wprawiło ją w ogromne zakłopotanie. Jak to możliwe, że nadal pragnie tego człowieka?

Po śmierci męża szczególnie ceniła sobie pracę na oddziale, daleką od rutyny. Opatrywała rany, zakładała szyny, pobierała materiał do badań, ale prócz tych typowo medycznych czynności sam kontakt z ludźmi sprawiał jej satysfakcję: pocieszanie rodzin chorych, uspokajanie i zabawianie dzieci.

Oczywiście bywały gorące chwile, gdy przywożono poszkodowanych po wypadkach, ale trudności zdawały się pobudzać ją do jeszcze efektywniejszej pracy.

Na życie towarzyskie Laury składały się przyjęcia w szpitalu, wyprawy z koleżankami do kina i pogawędki z personelem oddziału w miejscowym pubie.

Miała mnóstwo okazji do spotykania się z mężczyznami, ale robiła to tylko w szerszym gronie. Nie chciała żadnego zachęcać do bliższej znajomości, zresztą żaden nie zapalił w niej iskry, która by ją ożywiła. Żaden... prócz Bena.

Jego głos znów wyrwał ją z zamyślenia.

- Czy najpierw bolało tutaj? - zapytał chłopaka, dotykając okolicy pępka.

Laura wyprostowała się, spoglądając na Bena.

- Tak - odparł pacjent.

Ben umieścił dłonie na wysokości talerza biodrowego, a kiedy zwolnił ucisk, Robert jęknął.

- Boli - stęknął, patrząc na lekarza z wyrzutem.

- Przepraszam - powiedział Ben ze współczuciem, - Czy masz nudności? - zapytał, podczas gdy Laura pomagała chłopcu wciągnąć spodnie.

- Tak. I czuję suchość w ustach.

- Pokaż język.

Pacjent spełnił prośbę. Dostrzegli charakterystyczny nalot i poczuli nieprzyjemny zapach.

Ben sięgnął po kartę, żeby sprawdzić temperaturę. Okazało się, że brak zapisu.

- Daj mu termometr - zwrócił się do Laury ostrym tonem.

- Dobrze - bąknęła zmieszana.

Należało to do obowiązków siostry Pearson i przyrzekła sobie w duchu, że sprawi burę nieodpowiedzialnej pielęgniarki. Zbadała również tętno chorego. Było przyspieszone.

- Chyba nie ma sensu męczyć go badaniem rektalnym - powiedział cicho, żeby pacjent nie usłyszał. - Nie ulega wątpliwości, że to zapalenie wyrostka robaczkowego. Musimy go natychmiast operować.

Odwrócił się znów do chłopca.

- To zapalenie wyrostka - powtórzył. - Trzeba go natychmiast usunąć. - Zerknął w kartę, żeby sprawdzić, czy chory jest pełnoletni i może sam wyrazić zgodę na zabieg.

- Czy jadłeś coś lub piłeś tuż przed przyjściem do szpitala? - zapytał.

- Nie - jęknął Robert, wykrzywiając twarz z bólu. - Było mi niedobrze.

- Czy kogoś poinformować o twojej chorobie?

Ben zadał to pytanie z błyskiem współczucia w oczach. Laura nie mogła nie zwrócić uwagi na jego delikatność.

Będzie musiała się bronić, inaczej ten człowiek ją zauroczy!

- Nie - padła krótka, buntownicza odpowiedź.

- Musisz podpisać zgodę na operację.

- Rozumiem.

- Zaraz wracam - rzuciła Laura, wychodząc z Benem do dyżurki.

- Czy mam zadzwonić na salę operacyjną? - zapytała siostra, podnosząc głowę znad pliku papierów.

Celia Jackson skończyła czterdzieści pięć lat. Przed dwoma dniami urządziła w pracy przyjęcie urodzinowe. Miała krótko obcięte, falujące włosy i ładną twarz, ale była nieco za gruba. Jasne spodnie i biała tunika - bo pielęgniarki nosiły białe stroje w odróżnieniu od lekarzy, ubranych na bladofioletowo - nie ujmowały jej tuszy, niemniej lubiano ją i ceniono za doświadczenie.

- Bardzo proszę - odparł Ben z czarującym uśmiechem.

Widząc to, Laura nie mogła się oprzeć natrętnym myślom zaprzatającym jej głowę. Nagle bowiem zapragnęła pocałować go w usta, uśmiechając się do innej kobiety.

- Siostro, proszę poinformować pacjenta, że bezzwłocznie przewozimy go na salę operacyjną. Tam go przygotowują. Pobierz mocz i zbadaj próbkę, zanim go przetransportują -

zwróciła się Celia do Laury. - Mój syn jest w tym samym wieku. Wierzę, że nie ucieknie z domu jak Robert - wyrwało jej się nagle.

- Mając taką matkę, to wykluczone! - powiedział Ben, a uśmiech nie schodził z jego twarzy.

- Och, dałby pan spokój, doktorze - odparła Celia ze śmiechem.

Gdyby to było takie proste, myślała Laura gorączkowo, idąc do chorego. Gdybym mogła wybaczyć Benowi, że nie namawiał Davida do chemioterapii. Przede wszystkim jednak nie mogła sobie darować, że Ben tak ją pociąga. Przecież od śmierci męża wciąż odczuwała wyrzuty sumienia, że nie uczyniła wszystkiego, by mu pomóc.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? - zwróciła się do Roberta, wchodząc na salę.

Uśmiechnęła się, chcąc go jakoś pocieszyć, i przetarła jego obolałą twarz wilgotnym tamponem.

- Nie szło mi na uczelni, zrezygnowałem - wybuchnął nagle chłopak - a wiedziałem, że rodzice nigdy by mi tego nie wybaczyli.

- Jesteś pewien? - zapytała z troską.

- Tak - westchnął ciężko.

Patrzył na nią cynicznie, aż poczuła gorycz w sercu. W jego wieku była taka szczęśliwa!

- Już po pierwszych trzech miesiącach wiedziałem, że medycyna nie jest dla mnie. Próbowałem to ojcu wytłumaczyć, ale nawet nie chciał słuchać - ciągnął, po czym znów jęknął z bólu.

- Nie myśl teraz o tym - poradziła.

Podawała mu basen, wyjaśniając, co ma zrobić, i wyszła z sali. Wróciła dopiero wtedy, gdy sanitariusz przyprowadził wózek. We dwójkę pomogli Robertowi się ułożyć.

- Będę z tobą - przyrzekła.

- Na pewno? - zapytał z błaganiem w oczach.

- Oczywiście.

Najpierw jednak poszła zbadać mocz. Wyniki były w normie.

Niemal zapomniała o Michelle Pearson. Zawsze taka skrupulatna w pracy, w obecności Bena zaczynała się gubić. Na szczęście spotkała ją na korytarzu.

- Siostró - powiedziała, podchodząc do Michelle, która w pośpiechu opuszczała salę, niosąc w ręku basen. - Zaniedbuje siostra obowiązki. Chory nie dostał koca!

Dziewczyna zarumieniła się. Była śliczną, zgrabną, i w dodatku dobrą pielęgniarzką, ale, niestety, bywała roztargniona. Nosiała długie kolczyki, wbrew ciągle powtarzanym zakazom, lubiła też przesadny makijaż.

- Ja... - bąknęła zmieszana, a w jej oczach zalśniły łzy, - Przepraszam.

Michelle czymś się martwiła i wcale nie miało to związku z reprimendą, jaką przed chwilą dostała.

- Chodźmy to opróżnić - powiedziała Laura łagodniejszym tonem.

Poszły więc do łazienki. Michelle już miała wylać zawartość basenu, ale Laura ją powstrzymała.

- Czy mocz jest potrzebny do badania? - zapytała.

- Tak - załkała dziewczyna. - Och, ja...

Laura odebrała od niej basen i wlała mocz do próbówki.

- Czy znasz nazwisko pacjenta? - spytała, myjąc ręce.

- Tak. To Sonia Pearson, moja matka - wyrzuciła z siebie szybko. - Została potrącona na ulicy przez mężczyznę, który biegł do autobusu. Przewrócił ją. Doktor Russell sądzi, że mogła sobie połamać żebra, bo upadła na torbę z zakupami, pełną puszek z żywnością dla psa.

Laura otoczyła pielęgniarzkę ramieniem.

- Czy personel już wie, że to twoja mama?

- Nie - przyznała z twarzą zalaną łzami. - Sama dowiedziałam się dopiero wtedy, kiedy kazano mi zabrać basen i zbadać mocz.

- Zaraz się tym zajmiemy. A potem powiemy siostrze przełożonej.

Badanie wykazało krew w moczu.

- Czy to groźne? - spytała zaniepokojona Michelle.

- Niekoniecznie. - Laura próbowała ją uspokoić. - Chodź, wracajmy do niej - powiedziała stanowczym tonem.

Tego dnia dyżur miał doktor Martin Russell. Był to barczysty mężczyzna średniego wzrostu. Ciemne włosy opadały mu na czoło, nadając młodzieńczy wygląd. Laura zauważyła, że pacjenci patrzą na niego nieufnie. Najwyraźniej obawiali się, że jest za młody, tymczasem był kompetentnym specjalistą, choć miał dopiero dwadzieścia siedem lat i rzeczywiście wyglądał jak uczeń. Może chcąc sobie dodać powagi, bywał ostry w stosunku do personelu.

- Myślałem już, że w ogóle nie przyjdiesz - powiedział na widok Michelle. - A gdzie ta druga pielęgniarka? Tamta przynajmniej jest odpowiedzialna.

Potem położył notatnik, w którym coś zapisywał, na łóżku pacjentki. Ujrzał Laurę i nagle rozjaśniła mu się twarz. Nie zdążył nic powiedzieć na usprawiedliwienie złego humoru, bo Laura uprzedziła go chłodno:

- Pani Pearson to matka Michelle.

Nie znosiła, kiedy lekarze źle się odnosili do pielęgniarek w obecności pacjentów. Jeżeli uznają, że któraś siostra jest niekompetentna, swoje uwagi powinni skierować do siostry przełożonej. Ona jest od tego, by pouczać podległy sobie personel.

- Aha. - Martin wodził wzrokiem od matki do córki, nie kryjąc zmieszania.

Sonia Pearson nie była podobna do swojej córki. Ciemnowłosa, o ziemistej cerze, miała nieładną twarz i szpeciła ją tusza. Zupełne przeciwieństwo Michelle.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie - zwróciła się do córki, z trudem przezwyciężając ból, jaki sprawiało jej nawet mówienie.

- Och, mamusiu - jęknęła dziewczyna.

- Zostań tu - nakazała Laura, po czym spojrzała na Martina. - Przedstawię tylko sytuację siostrze przełożonej i zaraz przyjdę ci pomóc - powiedziała, wręczając mu wynik badania moczu.

- W porządku - zgodził się, już łagodniejszym tonem. Laura rzeczywiście wróciła po kilku minutach.

- Możesz zejść z dyżuru - poinformowała Michelle.

- Dziękuję - bąknęła dziewczyna i z wdzięczności jej głos znów wezbrał łzami.

- Dzięki za pomoc, Lauro - odezwał się Martin, patrząc, jak pani Pearson wywożona jest z sali na prześwietlenie, a córka przez cały czas trzyma ją za rękę, żeby jej dodać otuchy.

Laura wiedziała, że podoba się Martinowi. Kilkakrotnie proponował jej randkę, ale zawsze zdołała się jakoś wykręcić.

- Drobiazg - odpowiedziała chłodno.

Reszta dnia upłynęła bez większych wypadków. Skaleczenia, złamane kości i podobne przypadki leczono rutynowo, bez pośpiechu.

Laura odetchnęła jednak, kiedy dyżur się wreszcie skończył. Była wyczerpana - nie pracą, lecz usilnymi staraniami, by przestać myśleć o Benie.

Gdyby wiedziała, co ją czeka po powrocie do domu, na pewno by się tak nie spieszyła.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Cześć! - zawołała od drzwi.

Nikt jej nie odpowiedział, więc powiesiła kurtkę w holu i ruszyła do salonu. Sally i jej chłopak, Geoffrey, wstali z kanapy i patrzyli na nią uśmiechnięci radośnie, trzymając się za ręce.

- Pogratuluj nam - powiedziała przyjaciółka. - Właśnie się zaręczyliśmy,

Laura serdecznie uściskała oboje.

- Tak się cieszę z waszego szczęścia! - wykrzyknęła uradowana.

Geoffrey Young był prawnikiem. Pomagał Sally porządkować sprawy majątkowe po śmierci matki. Spotkali się ponownie pół roku temu na jakimś przyjęciu i wówczas ożyło uczucie, które zakiełkowało już podczas pierwszego spotkania. Wtedy był jeszcze żonaty, ostatnio się rozwiódł. Nie miał dzieci, więc mógł bez przeszkód poślubić Sally.

Był od niej dziesięć lat starszy. Niemal równali się wzrostem, ale on miał szczuplejszą sylwetkę. Nad czołem zaczynał łysieć.

- Napijmy się szampana - zaproponowała narzeczona, ciągnąc przyjaciółkę do salonu, gdzie Geoffrey napełniał już kieliszki.

- Za wasze szczęście! Wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia - powiedziała Laura, sącząc musujący napój.

Pomyślała jednocześnie, że nie czuje zazdrości, jakby przemożny smutek po śmierci Davida zaczął ją z wolna opuszczać. Przeżyli ze sobą zaledwie rok, ale ten krótki czas wzbogacił jej życie. Jedynym cieniem w ich pożyciu była świadomość jej silnego zainteresowania Benem.

- Kiedy ślub? - spytała, gdy usiedli.



- Kiedy tylko uda nam się wszystko załatwić - odpowiedziała Sally, nie wypuszczając z uścisku dłoni Geoffreya.

- Chcę być waszą druzną - oznajmiła Laura, śmiejąc się jednocześnie.

- Oczywiście - skwapliwie zgodziła się przyjaciółka.

- To będzie cicha uroczystość w urzędzie stanu cywilnego, dla najbliższych przyjaciół. - Na chwilę jej twarz spoważniała, jakby Sally straciła pewność siebie. - Zamieszkamy u niego, a to oznacza, że będę niestety zmuszona sprzedać to mieszkanie - dokończyła szybko.

- To zrozumiałe. - Laura nie okazała zaskoczenia.

- Znajdę sobie inne lokum, nie martw się.

- A może ty byś kupiła? - zaproponowała Sally. Laura zastanawiała się przez chwilę.

- Zapytam o to Bena - odpowiedziała wreszcie, nie bez wahania.

- Zaproszę go jutro na moje urodziny - rzekła Sally, nie wspominając, że już to zrobiła, nie uprzedzając koleżanki.

Pomyślała, że będzie to dobra sposobność, żeby Laura porozmawiała z Benem w towarzystwie. Może w ten sposób ich wzajemne stosunki ulegną poprawie?

- Postanowiliśmy skorzystać z okazji i oficjalnie ogłosić nasze zaręczyny - kontynuowała. - Może po wypiciu drinka w gronie znajomych Ben będzie bardziej sympatyczny - paplała z entuzjazmem. - Jednocześnie obejrzy mieszkanie.

- Nie byłabym taka pewna, że stanie się miłszy - wtrąciła szybko Laura. Nagle znów poczuła zmieszanie na myśl o nim.

- Nie, to nie jest dobry pomysł - zakończyła stanowczo.

- No, cóż - bąknęła Sally, wyraźnie rozczarowana. Aczkolwiek niechętnie, będzie się musiała jakoś wycofać z zaproszenia.

- Zadzwońię do niego w sprawie mieszkania - postanowiła Laura.

Zwykle rozmawiała z nim za pośrednictwem prawnika, tym razem jednak...

- W porządku - zgodziła się Sally.

Laura nie zauważyła przygnębionej miny koleżanki. Była zbyt zaabsorbowana próbami wymazania Bena z pamięci.

W nocy nie mogła zasnąć. Jej życie zaczynało się zmieniać i z wolna uświadamiała sobie, że tak jest lepiej. Od śmierci męża żyła niczym w letargu i nie potrafiła się z tego otrząsnąć. Praca absorbowwała ją niemal bez reszty, zaś w wolnych chwilach chodziła na gimnastykę.

Sally była jej najlepszą przyjaciółką i wiadomość o zaręczynach poruszyła ją. Uświadomiła sobie nagle, jak bardzo są z sobą zżyte.

Mam dwadzieścia sześć lat, pomyślała, odwracając poduszkę na drugą stronę. Czy śmierć męża ma mnie prześladować do końca życia? Przecież David wcale by tego nie chciał. Cieszyłby się, gdybym w pełni korzystała z życia.

Tak też zacznie postępować. Ból po jego stracie z biegiem czasu zmaleje. Zacznie nowe życie: uzyska od Bena zgodę na korzystanie z pieniędzy i kupi mieszkanie. Polubiła te przestronne pomieszczenia i ekscytowała ją myśl o urządzeniu ich według własnego gustu.

Jeszcze raz przewróciła poduszkę i wreszcie zdołała zasnąć.

Nazajutrz, w sobotę, przygotowywała się na przyjęcie, a kiedy znalazła chwilę, żeby zadzwonić do Bena, nie zastała go w domu. Wspomniała o tym Sally.

- O ile pamiętam, wybierał się dzisiaj do Birmingham, na wykład jakiegoś chirurga ze Stanów - wyjaśniła przyjaciółka.

- Nie szkodzi, jutro się z nim skontaktuję - oznajmiła Laura i zajęła się nadziewaniem kurczaków farszem z pieczarek.

Była tak pochłonięta tym zajęciem, że nie zauważyła strachu w oczach Sally, która nie zdążyła zadzwonić do Bena, żeby w miarę zrećnie odwołać zaproszenie na przyjęcie.

Do wieczora przygotowywały potrawy i zastawę, które ustawiły potem na dużym kredensie w salonie.

Geoffrey wpadł w porze lunchu ze skrzynką piwa i winem.

- Gdzie mam to postawić? - zapytał, rozglądając się w holu.

- Zanieś do kuchni - zdecydowała Sally.

Laura weszła za nimi akurat w chwili, kiedy się całowali. Wielokrotnie widziała ich w czułych scenach, więc zdążyła się na tyle przyzwyczaić, by nie reagować, ale tego dnia serce zakłuło ją boleśnie. Nagle zapragnęła gorąco, aby pocałował ją... Ben. To wszystko dlatego, że pracujemy razem, tłumaczyła sobie.

- Spójrz, co dostałam od Geoffreya na urodziny - pochwaliła się przyjaciółką, wyciągając ku niej nadgarstek, na którym połyskiwała złota bransoletka. - Marzyłam o takiej.

- Jest śliczna - przyznała Laura, oglądając prezent.

- Czy mam już porozstawiać kieliszki? - przerwał im Geoffrey.

- Tak, chodź, pokażę ci, gdzie są. - Sally pociągnęła go za rękaw i zniknęli za drzwiami salonu.

Przyjęcie miało się rozpocząć o ósmej. O siódmej Laura wzięła prysznic i poszła do sypialni, żeby się przebrać.

Patrzyła na wszystko jakby innymi oczami. Czy te ponure stroje naprawdę należą do niej? Były ciemne - głównie czarne, szare, granatowe i brązowe. Kolory żałobne, pomyślała.

Fasony również dawno wyszły z mody. Takie rzeczy z pewnością mnie postarzają co najmniej o dziesięć lat.

Postanowiła oddać je do sklepu z używaną odzieżą i kupić sobie nowe ubrania. Sally od dawna namawiała ją do tego, ale do tej pory Laura nie dbała o wygląd. Co ma włożyć na ten wieczór, żeby nie wyglądać, jakby szła na pogrzeb?

Na szafie leżała walizka wypełniona garderobą. Laura nie zaglądała do niej od czasu, kiedy się tu wprowadziła. Może uda jej się znaleźć coś ciekawego?

Stała na krześle i zdjęła ją. Robiła to w pośpiechu, i w tym momencie walizka spadła jej na głowę, obsypując kurzem. Laura pozbierała jej zawartość i rozłożyła wszystko na łóżku. Na wierzchu była suknia ślubna. Zapomniała, że ją tam włożyła. Uniosła zwiewną, haftowaną szatę. Na chwilę ożyły wspomnienia, ale szybko się z nich otrząsnęła. Pod spodem, na dnie, znalazła inny elegancki strój - zieloną sukienkę.

Zawsze uważała zielony kolor za pechowy, bo w dzieciństwie wypadła kiedyś z łódki do wody, a była wtedy ubrana właśnie na zielono. Tę sukienkę kupiła jednak na przekór przesądom, nie mogąc się oprzeć jej urodzie. Mimo wszystko nie nosiła jej później w obawie, że ściągnie na siebie nieszczęście.

Wyjęła ją i potrząsnęła, żeby rozprostować fałdy. Delikatna tkanina ułożyła się jak nowa. Zieleń pasowała do barwy oczu, poza tym David nigdy nie widział jej w tym stroju, więc nie przywoła przykrych wspomnień. Ale czy na pewno będzie dobrze wyglądała?

Złaziła się w duchu. Jak może być taka przesądna! To, że jej nie nosiła, nie pozwoliło ocalić Davida. Materiał musnął delikatnie jej skórę, jakby chciał tchnąć w nią nowe życie, niczym dłoń mężczyzny... Bena? Lustro uspokoiło ją wreszcie: sukienka leżała na niej doskonale.

Nagle jej twarz spochmurniała. Czymże się tak przejmuję! Przecież nie zdradziła męża, póki żył. To, co czuje do Bena, oznacza po prostu, że jako kobieta nie odrzuca potrzeby kontaktu z mężczyzną. Pora skończyć ze wstrzemięźliwością! Powinna cieszyć się życiem, kochać, a kto wie, może nawet wyjść za mąż!

Sukienka dodała jej pewności siebie, podkreślała zgrabną sylwetkę. Aż miło było popatrzeć w lustro. Uśmiechnęła się zadowolona, wkładając eleganckie pantofle.

- O rany, wyglądasz wspaniale! - zachwyciła się Sally, kiedy zeszła do kuchni.

Przyjaciółka miała na sobie jaskrawoczerwony fartuch, a pod spodem szykowną bluzkę z czarnego szyfonu i gustowną spódnicę. Odstawiła talerz z przekąskami, patrząc z podziwem na sukienkę Laury.

- Kiedy ją kupiłaś? - spytała.

- Och, mam ją od dawna, tylko w ogóle o niej zapomniałam.

- Nareszcie przestajesz się ubierać w szarości i czernie.

- Owszem. Mam zamiar kupić trochę rzeczy. Sally uściskała radośnie przyjaciółkę.

- Najwyższy czas, żebyś to zrobiła.

Jednocześnie zastanawiała się, czy powinna jej powiedzieć, że nie zdążyła odwołać zaproszenia Bena. Zrezygnowała jednak. Może i tak nie zdąży wrócić z Birmingham?

- Czy mogę pomóc? - zapytała Laura.

- Zanieś te przekąski do salonu.

- Dobrze.

Ledwie zdążyła postawić półmisek na kredensie, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi.

- Ja otworzę! - krzyknęła Sally. - To na pewno Geoffrey. Rzeczywiście, narzeczony przyjechał pierwszy, a tuż za nim zaczęli się schodzić jego koledzy i znajomi Sally ze szpitala.

Laura częstowała gości chrupkami i orzeszkami. Nagle podszedł Martin i położył rękę na jej ramieniu.

- Wyglądasz cudownie! - szepnął z zachwytem, usiłując ją przytulić.

Mocne postanowienie, by rozpocząć nowe życie, nie dotyczyło Martina, który zdawał się być wszędzie tam gdzie ona. Zapisał się nawet do tego samego klubu sportowego. Denerwowało ją to, nigdy przecież nie zachęcała go do bliższej znajomości.

- Nie dotykaj mnie! - syknęła.

- Czyżbyś się nie mogła doczekać Bena Kendricksa, jak chyba wszystkie zebrane tu kobiety? - zadrwił.

Nie obchodzi mnie, co myślisz, przemknęło jej przez głowę i już miała odejść w odległy koniec salonu, gdy dotarło do niej, co powiedział Martin.

- Bena Kendricksa? - powtórzyła jego słowa.

- Owszem, tego nowego lekarza z oddziału Sally - wyjaśnił ironicznie.

Przecież Sally wiedziała, że nie chce spotkać Bena. Nie mogła go więc zaprosić, myślała gorączkowo Laura. Przede wszystkim jednak nie dopuszczę, żeby Martin zorientował się, jak podziałało na mnie samo wspomnienie Bena Kendricksa. Wzruszyła więc tylko ramionami.

- Widzę, że podoba ci się nie mniej niż innym - zauważył Martin, z trudem ukrywając zazdrość.

Wtedy dopiero uświadomiła sobie, że źle zrozumiał jej gest i uznał, że naprawdę nie może się doczekać Bena. W zasadzie miała okazję wyprowadzić Martina z błędu i dać mu jasno do zrozumienia, że jej nie interesuje. Nie zamierzała kłamać, ale wyraz jej twarzy był jednoznaczny.

Chyba udało się, bo wyglądał na wyraźnie przygnębionego. Nie czuła się jednak winna. Może wreszcie zostawi ją w spokoju?

Poszła poszukać Sally. Nie było jej w salonie, więc udała się do holu, zamierzając skierować się do kuchni. W tej samej chwili zadzwonił dzwonek u drzwi. Przyjaciółka wybiegła z kuchni, żeby otworzyć. W drzwiach stał Ben.

- Ja... - bąknęła zarumieniona, spoglądając jednocześnie na Laurę z poczuciem winy. - Ja...

Nie wiedziała, co powiedzieć, ale i tak tamci dwoje jej nie słuchali, zapatrzeni w siebie. Ben podał Sally jakiś prezent, ale nie spuszczał oczu z Laury.

- Dziękuję - szepnęła solenizantka, odwijając paczuszkę. - Och, skąd wiedziałeś, że uwielbiam koty? - zapytała uradowana, kiedy jej oczom ukazało się zwierzątko z chińskiej porcelany.

- Mam swoich informatorów - powiedział, niechętnie odwracając wzrok od Laury.

Tym razem nie miała już wątpliwości. Uświadomiła sobie, że jakkolwiek by nie usprawiedliwiała swoich uczuć, wszystko w gruncie rzeczy okazywało się kłamstwem wobec samej siebie: Ben przyprawiał ją o drżenie serca za każdym razem, kiedy go widziała, i do tej pory niewiele zdołała w tej sprawie zdziałać.

Zdziwiła się, gdyż nigdy nie zauważyła sympatii Sally do kotów. Może dlatego, że sama za nimi nie przepadała? A może dowodzi to jej egoizmu, bo przez tak długi okres wspólnego mieszkania nawet się nie zorientowała, jakie są upodobania koleżanki?

Sally wprowadziła Bena do salonu.

- Postawię kota na kominku - cieszyła się. - A ty zasłużyłeś na drinka. - Uśmiechnęła się do Laury. - Należysz mu?

- Oczywiście - przytaknęła skwapliwie, widząc, że Martin bacznie ją obserwuje.

Ben podążył za nią do stolika, na którym stały trunki, nieco zaskoczony nagłą zmianą w jej usposobieniu.

W salonie zrobiło się ciasno. Laura czuła na szyi oddech Bena, kiedy przedzierali się przez tłum gości. Dziwna fala ciepła ogarniała jej ciało.

Stała po drugiej stronie stolika, jak najdalej od Bena,

- Czego się napijesz? - zapytała, chociaż doskonale wiedziała, co wybierze.

- Whisky. Czyżbyś zapomniała? - odpowiedział z czarującym uśmiechem.

- To było tak dawno...

- Tak, to prawda - przyznał z nutą smutku.

Nie licząc spotkania w szpitalu, ostatni raz widzieli się na pogrzebie Davida.

Smutek Bena znalazł odbicie w oczach Laury, kiedy spojrzała na niego, podając mu drinka. Odgadywali swoje myśli. Śmierć Davida wciąż jeszcze ich łączyła.

Laura nalala sobie białego wina i saczyła je w milczeniu. Teraz, dopóki są sami, dobrze byłoby zapytać o kupno mieszkania, pomyślała.

Wsunęła mu rękę pod ramię, czym zupełnie go zaskoczyła. Cóż ja najlepszego robię, łajała się w duchu, czując, że jego bliskość wprawia ją w podniecenie. Już miała się odsunąć, kiedy zauważyła przypatrującego się im Martina.

- Chodź, usiądziemy przy oknie - zaproponowała ze zniewalającym uśmiechem, na który się zdobyła wyłącznie ze względu na Martina Russella.

- Chcesz mnie uprowadzić? - zażartował Ben tonem, który ją całkowicie rozbroił.



Miała ochotę zgryźliwie odpowiedzieć, że mężczyzna z takim doświadczeniem nie da się tak łatwo zwieść na manowce, ale nie chciała go zrazić, więc spytała z uśmiechem:

- Czemu nie?

Roześmiał się, zadowolony, że nie jest do niego wrogo usposobiona.

- Wiem, że jesteś ogromnie zajęty, dlatego chciałabym teraz omówić sprawę zakupu tego mieszkania. Sally zaręczyła się z Geoffreyem i przenosi się do niego.

Przez twarz Bena przemknął wyraz rozczarowania.

- Ach, tak - powiedział obojętnie.

Pociągnął duży łyk whisky, żeby ukryć zmieszanie. Kiedy ponownie na nią spojrzął, w jego oczach nie dostrzegła już żadnych uczuć.

- Nie widzę przeszkód, jeśli cena nie będzie zbyt wygórowana.

Po raz pierwszy przystał na jej prośbę bez najmniejszego oporu. Zaskoczył ją, właściwie zaniemówiła z wrażenia. W milczeniu popijała wino, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

- Nie sprzeciwiasz się? Czyżbyś wreszcie uznał, że jestem za siebie odpowiedzialna i podejmuję właściwe decyzje? - zapytała, kiedy wstał.

- Zawsze byłaś rozsądna - powiedział cicho - tylko potrzebny ci był ktoś do pomocy po śmierci Davida.

Popatrzył na jej zieloną sukienkę. Zmiana w jej wyglądzie nie uszła jego uwagi. Przypominała teraz dawną Laurę, tryskającą energią i radością. Domyślił się, że przezwyciężyła smutek i żal, znów postanawiając cieszyć się życiem.

- David życzył sobie, żebym sprawował pieczę nad twoim majątkiem do czasu, kiedy dojdiesz do siebie po jego śmierci i okaże się, że potrafisz rozsądnie dysponować pieniędzmi. Pozostawił mi decyzję, kiedy to nastąpi,

- Naprawdę? - rzuciła ze złością. - Mam rozumieć, że dopiero w wieku dwudziestu sześciu lat dorosłam na tyle, żeby móc o sobie decydować?

- Widocznie popełniłem błąd - powiedział Ben w zamyśleniu.

Zarumieniła się. Nie powinna go traktować tak ostro.

- Przepraszam - odezwała się sztywno.

- Nie ma o czym mówić. Zaaranżuję spotkanie z prawnikiem. Powinniśmy załatwić tę sprawę.

Stojąc w miejscu i patrząc na jego wysoką, wyprostowaną sylwetkę, gdy podchodził do pielęgniarek z jej oddziału, poczuła się nagle niepewnie.

Od śmierci Davida Ben był dla niej silnym oparciem - czy chciała tego, czy nie. Pełna pogardy, nie uświadamiała sobie, jak bardzo była od niego zależna. Dotarło to do niej dopiero teraz, kiedy zrezygnował ze sprawowania pieczy. Nagle była zdana wyłącznie na siebie.

Przyjęcie trwało do pierwszej w nocy, ale po wyjściu gości przyjaciółki długo jeszcze nie szły spać.

- Przepraszam, powinnam cię była uprzedzić o wizycie Bena - tłumaczyła się Sally. - Zresztą przypuszczałam, że nie zdaży przyjechać.

- Nie szkodzi. - Laura uśmiechnęła się w zamyśleniu.

- Co powiedział o kupnie mieszkania? - dopytywała się przyjaciółka, kiedy piły herbatę po sprzątnięciu ze stołu.

- Wyraził zgodę, jeżeli cena będzie rozsądna. Co więcej, oświadczył, że od tej pory sama mogę rozporządzać swoimi pieniędzmi.

- To dopiero wiadomość! Wyobrażam sobie, jaka to dla ciebie ulga. Nareszcie nie będziesz musiała się z nim spotykać. Poza kontaktami w pracy, oczywiście.

- No właśnie.

Próbowała okazać zadowolenie, ale nie zabrzmiało to szczerze. Miała jednak nadzieję, że Sally przypisze brak entuzjazmu w jej głosie zmęczeniu i niewyspaniu.

- Czas do łóżka - zakończyła rozmowę przyjaciółka, wstając od stołu. - Chyba możemy uznać przyjęcie za udane, nie sądzisz? - Zerknęła na swoją bluzkę z szyfonu, prezent od Laury. - Jeszcze raz dziękuję. Wszystkim się podobała.

- Cieszę się.

Wiedziała, że Sally od dawna marzy o czymś takim, więc bez trudu wybrała prezent.

Tej nocy spała wyjątkowo źle. Męczył ją okropny sen: osunęła się z występu skalnego i resztką sił trzymała się krawędzi. Ben zdołał chwycić ją za rękę, ale zaczęło mu brakować siły, żeby ją utrzymać. Obudziła się zlana potem.

W niedzielę była wspaniała pogoda. Słońce rozświetlało błękit nieba, Laura jednak miała posępną minę. Rozmyślenia o Benie psuły jej humor. Po południu poszła do klubu z nadzieją, że gra w tenisa pozwoli jej o nim zapomnieć.

Rozglądała się właśnie za kimś, kto chciałby z nią zagrać, kiedy wszedł Ben.

- Czyżbyś szukała partnera? - zapytał, mrugając zabawnie z powodu dwuznaczności pytania.

- Owszem, do tenisa - odparła chłodno.

- Nie sądzisz chyba, że mógłbym mieć na myśli cokolwiek innego? - spytał ze śmiechem.

- Nie martw się, nic zdrożnego nie przyszłoby mi do głowy - zapewniła, unikając jego wzroku, gdyż w szortach i obcisłym podkoszulku wyglądał niezwykle atrakcyjnie.

On również przyglądał się jej z aprobatą, wręcz natrętnie, aż zaczęła żałować, że nie ubrała się inaczej. Strój tenisowy odsłaniał opalone nogi i ramiona. Taki sam komplet sportowy nosiła przecież wtedy, gdy grali we czwórkę: ona z Davidem i Ben ze swoją partnerką.

Pocieszała się, że on z pewnością nie pamięta takich drobiazgów. W jej pamięci za to tkwił każdy szczegół. Żartował sobie z niej wtedy, mówiąc: „Wyglądasz w tym zupełnie jak dziecko”. Rozzłościła się wówczas, ale David objął ją i przytulił ze słowami: „Najdroższe dziecko”. Były to miłe wspomnienia. Po raz pierwszy myślała o tamtych chwilach bez żalu.

- Znowu nosisz falbanki? - zapytał nagle.

Więc jednak pamiętał.

- Noszę, co mi się podoba - odparła, rozglądając się ponownie wokoło, bo nie miała już ochoty z nim grać.

Powiódł wzrokiem po korcie, ale nikt nie wszedł do klubu. Byli sami.

- Czy sądzisz, że uda ci się zagrać ze mną bez narzekania? - zapytał sucho. - Zresztą nie masz wyboru.

Faktycznie, mogła najwyżej w ogóle zrezygnować z gry, ale to byłaby ostateczność. Chciała przecież zmęczyć się na tyle, by móc lepiej spać, niemniej słowa Bena wprowadziły ją w zakłopotanie. Zachowywała się jak rozkapryszone dziecko.

- W porządku, spróbuję nie gderać - roześmiała się.

Słońce prażyło mocno, rzucając na kort cień siatki. Laura usiłowała skoncentrować się na grze, zapomnieć o partnerze, ale nie było to łatwe. Za każdym razem, kiedy sięgał po piłkę, dostrzegała siłę jego wysportowanego ciała. Nic dziwnego, że grała chaotycznie.

- Powinnaś więcej ćwiczyć - zauważył, gdy skończyli.

- Kiedyś grałaś lepiej.

Nadal tak jest, pomyślała, tylko przy tobie nie mogę się skupić.

- Chyba zastosuję się do twojej rady - oświadczyła.

- Zapewne odmówisz, jeśli zaproponuję ci drinka? - zapytał z wahaniem w głosie.

Poszłaby z nim bardzo chętnie, ale sama obecność tego mężczyzny, gdy razem przemierzali kort, wywoływała w niej uczucia nie do zniesienia.

- Dziękuję, ale nie mogę - bąknęła.

Zbliżali się już do wyjścia, kiedy rozległ się krzyk:

- Nie rób tego, kochanie!

Obejrzeni się w stronę, skąd dobiegał głos. Potężny mężczyzna w wieku około czterdziestu lat nie posłuchał ostrzeżenia kobiety i przeskakiwał przez siatkę. Jedna stopa przeszła bezpiecznie górą, druga uwięzła w oku siatki i mężczyzna runął na prawy bok, uderzając głową i ramieniem o twardą nawierzchnię kortu.

Laura i Ben błyskawicznie podbiegli do niego. Jego partnerka już nad nim klęczała. Uniosła głowę, kiedy Laura stanęła obok.

- On zawsze ryzykuje - powiedziała ze łzami w oczach.

Laura знаła Eve Hall; widywały się w klubie. Ben wyjaśnił, że jest lekarzem i pochylił się, żeby zbadać rannego.

- Chyba zwichnął sobie bark - stwierdził, wskazując na ramię mężczyzny. - Mógł nawet uszkodzić biodro i spowodować pęknięcie czaszki. - Zwrócił uwagę na nierówne źrenice, niepokoił go też fakt, że niefortunny tenisista nie odzyskiwał przytomności. - Wezwij karetkę - poprosił Laurę.

Pobiegła do recepcji. Po telefonie na pogotowie wzięła od recepcjonistki koc, który znalazły w pudle rzeczy zostawionych przez członków klubu.

- Sądzi pan, doktorze, że to bardzo poważny uraz? - dopytywała się zmartwiona kobieta. - Czy mój mąż wyjdzie z tego?

- Miejmy nadzieję, że uda się mu pomóc, chociaż... sytuację pogarsza jego tusza - wyjaśnił Ben.

Wkrótce przyjechała karetka. Ben uprzedził sanitariuszy o swoich podejrzeniach.

- Bardzo dziękuję - powiedziała Eve, zwracając się do pielęgniarki i lekarza, kiedy wsiadała do samochodu wiozącego męża.

- To nasz obowiązek - odrzekł Ben, uśmiechając się do niej serdecznie.

Samo słowo „nasz” zdawało się ich do siebie zbliżać. Laura poczuła nagły przyływ ciepła w okolicy serca. Muszę wziąć się w garść, przyrzekła sobie w duchu.

Już miała się oddalić, gdy od niechcienia zapytał, czy mogłaby podzucić go do domu.

Więc jednak nie zostawał w klubie na drinka, jak zamierzał. Nie wypadało jej odmówić, zresztą obawiała się, żeby nie zmienił zdania i nie wycofał danego słowa w sprawie pieniędzy.

- Gdzie mieszkasz? - zapytała, kiedy wsiadali do samochodu.

- Na Rosemary Gardens. Wiesz, gdzie to jest?

- Zapomniałeś? Przecież urodziłam się w Ledborough, więc znam tę ulicę - oznajmiła, skręcając w Thoraton Road.

Źle zrobiła, godząc się na tę przejażdżkę. Męczyła się, siedząc tak blisko niego w ciasnym samochodzie. Żeby tylko się nie zorientował, myślała pełna obaw.

- Nie musisz trzymać kierownicy tak kurczowo - zażartował z uśmiechem. - Samochód nie pofrunie.

Spojrzała mu w twarz i gdy na moment ich oczy się spotkały, dostrzegła błysk pożądania. On też z trudem nad sobą panował.

- Zawsze staram się mocno ją trzymać - rzuciła wyniośle.

Roześmiał się. Wiedziała, że nie jest w stanie go zmylić. Bezbłędnie odczytywał jej myśli.

- Skręć w lewo za rogiem - poprosił.

- Mówiłam przecież, że wiem, gdzie to jest - powiedziała sucho.

Zupełnie straciła panowanie nad sobą. Denerwowało ją, że Ben w lot odgaduje jej myśli. Z wściekłości skreśliła zbyt gwałtownie i zawadziła o krawężnik. Nigdy więcej go nie podwiozę, przyrzekła sobie.

Gdy znaleźli się na Rosemary Gardens, z zazdrością pomyślała, jaki z niego szczęściarz. Sama od dawna marzyła o zamieszkaniu na tej ulicy. Właściwie trwało to od momentu, gdy jako dziecko została zaproszona na przyjęcie do domu pod dziesiątką.

Ulica była obramowana szpalerem drzew. W głębi stał rząd starych budynków z ogromnymi oknami, zdobnymi w wykusze. Była w jednym z tych domów jako mała dziewczynka. Zapamiętała z dzieciństwa kojący chłód holu, przestronne pokoje, a przede wszystkim tapetę w kwiaty na ciemnoniebieskim tle. Przywodziło to na myśl dawno oglądane obrazy, przedstawiające dzieci z epoki wiktoriańskiej, mieszkające w takich właśnie domach.

Nie mogła wprost uwierzyć, kiedy Ben poprosił, żeby zatrzymała się przed domem numer dziesięć.

- Czy w salonie nadal jest niebieska tapeta? - zapytała podekscytowana.

- Owszem. - Spojrzał na nią zdziwiony.

- Czy mogłabym zobaczyć?

- Oczywiście.

Wysiedli z samochodu i ruszyli ścieżką przez ogródek. Laura, widząc zaskoczenie Bena, wyjaśniła:

- Byłam tu jako dziecko na przyjęciu i odtąd zawsze bardzo mile wspominałam ten dom.

- Ach, tak.

- Czy kupiłeś go?

- Nie, wynająłem, ale w każdej chwili można go kupić. Otworzył drzwi i weszli do środka. W holu panował taki sam przyjemny chłód, jak przed laty. W mroku jaśniała drewniana

balustrada, ciągnąca się wzdłuż schodów prowadzących na górę.

Kierując się nagłym impulsem, nie czekając na zaproszenie, Laura weszła do salonu. Nic się w nim nie zmieniło, nawet meble były te same. Mahoniowe.

- Jak tu ślicznie - powiedziała wzruszona.

Te słowa wypowiedziała bezwiednie, gdy zwróciła ku Benowi rozpromienioną twarz.

Po raz pierwszy nie dostrzegł niechęci w jej spojrzeniu. Chociaż to nie z jego powodu tak się cieszyła, wyciągnął ku niej rękę. Nagle zapragnął jej całym sercem i ciałem.

Wciąż jeszcze oszołomiona powrotem do przeszłości, poddała się urokowi chwili i odwzajemniła pocałunek Bena. Później, gdy z wolna przytomniała, a Ben tulił ją do siebie coraz mocniej, było już za późno, by się wycofać. Uczucia i zmysły, tłumione przez trzy lata, wybuchnęły z całą siłą i oboje przestali z sobą walczyć. Dopiero gdy poczuła rękę Bena na udzie, ochłonęła.

- Nie! - zawołała, odsuwając się gwałtownie i usiłując opanować drżenie.

Niełatwo było stłumić pragnienie, gdy spojrzała w jego błyszczące oczy, w rozpaloną twarz.

Pragnęła znów się do niego przytulić, jednak odwróciła się i wybiegła na ulicę, jakby uciekając przed własną słabością. Usiadła za kierownicą, ale nie chciała jechać w takim stanie. Odczekała dłuższą chwilę, by się uspokoić.

- Nienawidzę go! - niemal krzyknęła, jakby siłą głosu próbowała sobie wmówić, że to prawda.

Gnębiło ją poczucie winy. Jak mogła ulec Benowi, skoro on nie pomógł jej mężowi!

Ruszyła wreszcie, ale na ustach wciąż czuła pocałunki Bena. Pragnęła go ponad wszystko. Tęsknota dławiła ją do



tego stopnia, że musiała zjechać na pobocze, by nieco ochłonać.

Miłość Davida była spokojna, wyważona. Kochał się z nią delikatnie, więc reagowała tak samo. Nie spodziewała się, że jest zdolna do wielkich uniesień, do tak szalonego pożądania. Czy w ogóle istniałaby jakaś granica namiętności, gdyby bez reszty uległa Benowi? - zastanawiała się, parkując samochód.

Nagle ogarnęło ją przygnębienie. Ben rozpętał w niej burzę uczuć, ale to mężczyzna, z którym nie wolno jej się związać.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Ben zadzwonił do niej w poniedziałek rano, zanim wyszła do pracy. Chciał uzgodnić termin spotkania z prawnikiem.

- Czy odpowiada ci piątek? - zapytał.

- Jestem wolna od rana do piętnastej. Później mam dyżur.

- Skontaktuję się z nim, a potem dam ci znać - odparł i odłożył słuchawkę.

Czy on też wspominał tamten dzień, kiedy się całowali? - myślała, próbując się uspokoić. Głos, który usłyszała przed chwilą w słuchawce, sprawił, że przypomniała sobie jego pałające namiętnością oczy. Czuł to samo, co ona, to nie ulegało wątpliwości. Erotyzm, ciągnący ich ku sobie od początku znajomości, dawał o sobie znać z coraz większą siłą.

Za wszelką cenę chciała wziąć się w garść i przestać o nim myśleć, przynajmniej w pracy. Weszła jednak na oddział z przyspieszonym biciem serca. Przebrała się i dołączyła do reszty personelu, by wysłuchać poleceń siostry przełożonej na dzisiejszy dzień.

Później, wychodząc z administracyjnej części szpitala, natknęła się w drzwiach na kobietę, która pchała zniszczony wózek dziecięcy. Była to młoda dziewczyna o sterczących, ufarbowanych na rudo włosach, w obcisłych czarnych dżinsach, białym podkoszulku z nadrukiem, przedstawiającym jakiś zespół muzyczny, i czarnej skórzanej kurtce. Z uszu zwisały jej duże kolczyki, kontrastujące z nie umalowaną twarzą.

Widząc pielęgniarski strój Laury, chwyciła ją za ramię.

- Coś jest nie tak z moim dzieckiem - powiedziała. Laura przyjrzała się niemowlęciu. Miało około pół roku, wyglądało na słabe. Patrzyło tępym wzrokiem, jak stary człowiek. Widziała już taki wyraz twarzy u dzieci, które maltretowano.

- Poproszę lekarza, żeby zaraz zbadał maleństwo. Jak się pani nazywa? - spytała.

- Rose Powell, a to - spojrzała w kierunku wózka - to jest Timmy.

Laura zaprowadziła matkę z dzieckiem do gabinetu, a sama poszła do przełożonej pielęgniarek.

Na korytarzu spotkała siostrę Jackson, która właśnie wychodziła z jakiejś sali w towarzystwie Bena. Co on tu robi? - pomyślała zaskoczona, a serce znów zaczęło jej bić przyspieszonym rytmem.

- Coś się stało? - zagadnęła Celia Jackson, widząc zaniepokojenie Laury.

- Przed chwilą wprowadziłam do gabinetu lekarskiego matkę z niemowlęciem. Mam wrażenie, że dziecko zostało pobite - dodała niemal szeptem.

- Pozwolisz, że je zbadam? - zwrócił się Ben do Celi.

- Oczywiście. - Siostra Jackson spojrzała na niego z wdzięcznością. - John został wezwany do chorego na inny oddział. Dobrze by było, żeby Laura poszła z tobą, skoro zna już matkę. Bądźcie ostrożni, inaczej niczego się nie dowiecie.

Dziewczyna spojrzała na Bena przestraszonym wzrokiem, kiedy wszedł z Laurą do pokoju.

- Nazywam się Kendricks i jestem lekarzem - przedstawił się. - Przyszedłem zbadać dziecko, pani Powell.

Rose jakby się zawahała i strach w jej oczach wyraźnie się nasilił.

Laura wyjęła maleństwo z wózka. Zakwiliło, gdy je dotykała. Ben delikatnie odebrał je od niej. Jak na mężczyznę nie mającego własnych dzieci, trzymał niemowlę pewnie, a zarazem z wyczuciem, ostrożnie. Widać, że lubi dzieci, pomyślała wzruszona, obserwując jego twarz, kiedy kładł Timmy'ego na kozetce.

Sam rozebrał małego. Dziecko było bardzo słabe, ledwo się poruszało. Upłynęła dłuższa chwila, zanim znów zaczęło płakać, a wtedy Laura rozkleiła się na dobre. Do oczu

napłynęły jej łzy, miała ochotę chwycić maleństwo i przytulić do serca.

Akurat w tej chwili Ben spojrzał na nią i zrobiło mu się jej żal. Nie sądził, że jest tak wrażliwa.

W pogodny, słoneczny dzień niemowlę ubrano w grube spodnie i kurtkę. Dopiero teraz Laura zorientowała się, iż zaróżowione policzki nie są oznaką dobrego zdrowia, lecz symptomem przegrzania. Po rozebraniu malucha jego drobna twarzyczka zaczęła blednąć.

Kiedy lekarz badał Timmy'ego, z trudem hamowała łzy na widok posiniaczonego ciała. Chłopiec kwilił rzewnie za każdym razem, gdy Ben go dotykał, chociaż robił to bardzo delikatnie.

- Spadł z kanapy - odezwała się Rose, stojąca u wezłowania kozetki.

Laura zauważyła, że głos matki zabrzmiał obojętnie. Nie było w nim cienia żalu, zupełnie jakby oznajmiała upadek nie dziecka, lecz jakiegoś przedmiotu.

- Jak to spadł? - dociękał Ben równie chłodnym tonem.

- Po prostu zsunął się - odrzekła dziewczyna wyzywająco.

Lekarz spojrzał na nią obojętnym wzrokiem.

- Musimy go prześwietlić - wyjaśnił.

Jak on może zachować spokój w takiej sytuacji? - zastanawiała się Laura. Bała się spojrzeć na Rose, bo nie potrafiła ukryć złości. Co to za matka, skoro doprowadziła niemowlę do takiego stanu? Nagle poraziła ją jeszcze gorsza myśl: może maleństwo zostało zwałtretowane właśnie przez matkę?

- Siostro!

Ostry ton głosu Bena przywrócił jej poczucie rzeczywistości. Wzięła się w garść. Miała nadzieję, że wyraz twarzy nie zdradzi jej uczuć.

- Przynieś koc! Nie ma sensu go ubierać - oświadczył. Chętnie wyszła. Wyjęła kocycik z szafki w specjalnym pomieszczeniu na bieliznę, po czym wróciła do gabinetu i owinęła delikatnie maleństwo. Matka tymczasem nawet nie dotknęła synka. Siedziała nieruchomo, z kamienną twarzą.

Ben wypełnił kartę chorobową.

- Timmy musi zostać w szpitalu, pani Powell. Powiem siostrze, że może pani z nim zostać - dodał.

- Jestem panna, nie pani Powell - poprawiła go Rose. - I nie mogę tu zostać.

Moje podejrzenia są słuszne, pomyślała Laura, niosąc płaczące niemowlę na radiologię. To matka pobiła dziecko.

Na korytarzu panował ruch. John wydawał polecenia sanitariuszom, którzy pchali wózek z pacjentem. Usłyszała dźwięk monitora, kiedy ją mijali. Kolejny zawał serca, domyśliła się.

- Dzwonił doktor Kendricks - poinformował ją radiolog, gdy dotarła do sali rentgenowskiej. - Chce, żebym mu podała wyniki przez telefon. Prosił też, żeby pani przyniosła mu dziecko po prześwietleniu.

Laura skinęła głową. Zaczekała, aż Timmy zostanie prześwietlony i zabrała go z powrotem na oddział. W poczekalni zobaczyła Rose. Zdziwiło ją to. Sądziła, że matka chłopca dawno już wyszła.

Ben czekał na wyniki razem z siostrą Beatrice Nicholson, nazywaną przez wszystkich Beą.

- Przygotowałam mu już łóżeczko - odezwała się, delikatnie gładząc twarzyczkę Timmy'ego.

Dziecko płakało żałośnie.

Bea wyróżniała się bardzo niskim wzrostem. Gdyby nie fartuch, można by ją wziąć za pacjentkę oddziału dziecięcego. Jednak w przeciwieństwie do Martina Russella, nie przejmowała się tym.

Oddział pediatryczny był jasny i przestronny. Na oknach i ścianach widniały obrazki z filmów Disneya. Zrobiono wszystko, żeby stworzyć miłą atmosferę.

Laura włożyła dziecko do łóżeczka.

- Matka nawet nie chce go widzieć - szepnęła Bea, okrywając kwilącego malca.

- Czy powiadomimy policję? - zapytała Laura, patrząc na chłopca ze współczuciem.

- O tym zadecyduje pediatra - odparła Bea. Widząc wchodzącą pielęgniarkę, zwróciła się do niej: - Proszę posiedzieć przy dziecku, sestro Roberts. Mały jest potłuczony, spadł z tapczanu.

Wróciły do gabinetu lekarskiego, żeby się zapoznać z wynikami prześwietlenia.

- Timmy ma pęknięcie czaszki grubości włosa, a poza tym tylko stłuczenia - wyjaśnił Ben.

- Czy to możliwe, że tylko spadł z kanapy? - dociekała Bea.

Jakże spokojnym tonem to mówi, pomyślała Laura, kipiąc ze złości z powodu krzywdy wyrządzonej dziecku.

- Mógł rzeczywiście spaść - odparł Ben. - Jestem pewien, że pediatra, Joe Carter, każe go obserwować przez całą dobę. Porozmawiam z nim - dodał wstając.

Laura nie potrafiła zrozumieć, dlaczego wszyscy prócz niej są tacy spokojni.

- Czy masz jeszcze do mnie jakąś sprawę? - zapytała Bea.  
- Spieszę się.

Laura zwróciła uwagę na jej chłodny, niechętny ton. Ciekawe, dlaczego mnie nie lubi? - zastanawiała się.

- Może powinnaś porozmawiać z matką dziecka - powiedział tymczasem Ben. - Ty pierwsza ją poznałaś, łatwiej ci się będzie z nią dogadać.

Bała się, że ją o to poproszą. Nie potrafiła zachować się obojętnie, zawsze w takich przypadkach reagowała emocjonalnie.

- Racja - przytaknęła Bea. - Może zdoła się czegoś dowiedzieć?

Nie podobał się Laurze sposób, w jaki Bea o niej mówiła. Poza tym powinna przecież zwracać się bezpośrednio do niej. Nachmurzyła się, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

- Znajdziesz pannę Powell w poczekalni, o ile jeszcze sobie nie poszła - komenderowała pielęgniarka.

- W porządku - zgodziła się Laura, spoglądając ze złością na Bena.

Odwróciła się tak szybko, że nie zauważyła jego zaskoczonyj miny.

Rose Powell wstała, gdy tylko Laura weszła do poczekalni. Spojrzała na nią tak hardo, tak wyzywająco, że pielęgniarka zupełnie nie wiedziała, jak zacząć kłopotliwą rozmowę. Nagle w drzwiach stanął Ben. Czego on tu znowu chce? - pomyślała Laura ze zdumieniem.

- Panno Powell - zaczął, siadając obok dziewczyny.

- Synek ma pękniętą czaszkę. Zatrzymamy go na obserwacji - dodał, patrząc na nią ze współczuciem.

- Nie obchodzi mnie, co z nim zrobicie - odpowiedziała Rose wojowniczo. - Jest okropny, wciąż wrzeszczy jak opętany. To dlatego... - Nagle urwała i wzruszyła ramionami.

Więc jednak to ona jest odpowiedzialna za obrażenia, jakich doznało dziecko, pomyślała Laura z goryczą.

- Czy pani dziecko naprawdę spadło? - zapytał Ben łagodnym tonem.

Dlaczego jest tak delikatny? - zastanawiała się Laura i twarzyczka malca ponownie stanęła jej przed oczami. Rose znów wzruszyła ramionami.

- Możecie sobie myśleć, co chcecie - rzuciła zuchwale. - I tak nikt mi nic nie udowodni. - Wstała szybko.

- Pójdę już.

Wybiegła z poczekalni, zanim zdążyli ją zatrzymać.

- I co teraz? Czy powiadomisz policję? - indagowała Laura.

- Nie - odpowiedział cicho.

- Dlaczego? - zdziwiła się, nie kryjąc oburzenia.

- Nie mogę - odparł stanowczo.

Była na niego wściekła. Żałowała, że pozwoliła mu wtedy na zbliżenie, na pocałunki. Jak mogła zapomnieć, że zdradził Davida? Nie wolno jej ulegać własnym słabościom, musi się hamować.

- Kolejny błąd. Poprzedni popełniłeś wobec mojego męża - przypomniała mu z sarkazmem.

Ben cofnął się, jakby pod wpływem ciosu. Jego twarz stała się nieprzenikniona.

- Pewne sprawy w rzeczywistości wyglądają inaczej, niż by się wydawało - rzekł sucho.

- Dla mnie wszystko jest oczywiste - rzuciła gniewnie.

- David żyłby dłużej, gdybyś go namówił do chemioterapii. Mógłbyś też zapobiec dalszemu maltretowaniu Timmy'ego, gdybyś tylko zechciał.

- Wiesz, na czym polega twój problem? - zapytał z twarzą zaczerwienioną od gniewu i żalu, bo przecież nie mógł jej powiedzieć prawdy o Davidzie. W tej chwili przeklinał przysięgę Hipokratesa, która zabraniała zawieść zaufanie pacjenta. - Wyciągasz zbyt pochopne wnioski.

Przyglądała mu się z uwagą, ale słowa docierały do niej z trudem. Nagle poczuła narastające podniecenie. Nawet gdy była na niego naprawdę wściekła, działał na jej zmysły.

- Jesteś niesprawiedliwy. Nic o mnie nie wiesz.



- To, co wiem, w zupełności wystarczy - powiedział, tym razem spokojniej.

Co miał na myśli? Wyszedł, zanim zdążyła zapytać.

Wróciła więc na oddział urazowy i zajęła się pracą. Na szczęście tego dnia nie było poważnych wypadków. Za to pod koniec dyżuru lekarz zlecił jej opiekę nad dość kłopotliwym pacjentem. Ubrany wizytowo, w elegancki garnitur i krawat, skarżył się na ból ucha. Nazywał się Colin Bradley.

- Czy był pan z tym u swojego lekarza? - spytała.

- Nie mieszkam w Ledborough - odparł poirytowany.

- Jestem tu na konferencji dotyczącej komputerów. Zdaję sobie sprawę, że należało pójść do lekarza, zanim wyjechałem z domu, ale sądziłem, że samo przejdzie.

Laureę ogarnęła złość na siebie. Z notatek powinna się zorientować, że pacjent tu nie mieszka. Znów nie potrafiła się skoncentrować, jak zwykle przez Bena! Wciąż o nim myśli.

Otoskopem zbadała uszy chorego, ale ropa utrudniała widzenie błony bębenkowej. Przyjrzała się mężczyźnie dokładniej. Wszystko wskazywało na znacznie poważniejsze schorzenie niż zwykła infekcja uszu. W dodatku pacjent był ospały.

- Zmierzymy temperaturę, a potem poproszę lekarza, żeby pana zbadał - zdecydowała.

- Miałem nadzieję, że dzisiaj wrócę do domu. Żona jest w ciąży, w przyszłym tygodniu przypada termin porodu.

Uśmiechnęła się, żeby go uspokoić, chociaż w głębi duszy szczerze martwił ją stan zdrowia mężczyzny. Podała mu termometr i zmierzyła tętno. Było nieco przyspieszone. Gorączka okazała się bardzo wysoka. Należało mu natychmiast pomóc.

- Czy boli pana głowa?

- Tak - odparł, ściągając brwi. - I światło razi mnie w oczy.

- Ma pan nudności?

- Trochę.

Siedzieli w gabinecie zabiegowym.

- Przejdziemy do innego pokoju. Tam łatwiej będzie dokładnie pana zbadać.

Przenieśli się do gabinetu obok. Laura pomogła pacjentowi położyć się na leżance.

- Co za ulga - powiedział, zamykając oczy. Zostawiła go samego i wyszła po lekarza. Na szczęście korytarzem przechodził właśnie Martin Russell.

- Czy mógłbyś zbadać chorego? To pilne! - dodała gorączkowo i chwyciła go za ramię.

- Miałem właśnie zrobić sobie herbatę - jęknął.

- Trzeba mu natychmiast pomóc - nalegała. - Ma infekcję uszu, skarży się na ból głowy i... - Chciała dodać: światłowstręt i nudności, ale Martin nie pozwolił jej dokończyć.

- Idziemy - rzucił krótko i po chwili byli już przy chorym.

- Od jak dawna boli pana to ucho? - zapytał Colina Bradleya, gdy Laura pomogła mu usiąść.

- Od trzech dni.

Zbadał go dość powierzchownie.

- Powinien był pan odwiedzić swojego lekarza - oświadczył gderliwym tonem. - My zajmujemy się poważniejszymi przypadkami niż infekcja ucha, to przecież oddział urazowy. Dam panu antybiotyk i napiszę zalecenia dla pańskiego lekarza. Po powrocie do domu niech pan od razu się z nim skontaktuje - powiedział, wręczając pacjentowi kartkę.

Laura była oburzona, ale starała się nie dać tego po sobie poznać.

- Za chwilę wrócę - oznajmiła pacjentowi i wyszła za Martinem na korytarz.

- Czy naprawdę nie sądzisz, że powinniśmy go przyjąć do szpitala? - zapytała z niepokojem.

- Odkąd to jesteś lekarzem? - zapytał kpiąco.

- Przecież razi go światło i ma nudności - powiedziała z naciskiem.

- No i co z tego? - zniecierpliwił się. - W tak słoneczny dzień jak dziś mnie też razi światło. A nudności? Może po prostu wypił za dużo piwa do lunchu.

- Kogo razi światło? - usłyszeli za sobą głos Bena.

Podszedł bezszelestnie i najwyraźniej słyszał fragment rozmowy.

- Pacjenta z sali numer dwa - odpowiedziała Laura natychmiast.

- To zwykła infekcja ucha - upierał się Martin.

- Czy on sam skarżył się na światłowstręt? - zwrócił się Ben do kolegi.

- Nie - bronił się Martin. - Wspomniał o tym Laurze. Powinnaś mi była od razu o tym powiedzieć. - Spojrzał na nią z wyrzutem.

Zamurowało ją. Jak śmie zwalać na nią winę za własne niedbalstwo!

- Ja... - zaczęła, chcąc wszystko wytłumaczyć.

- To ty jesteś lekarzem - przerwał jej Ben, patrząc na Martina lodowatym wzrokiem. - Twoim obowiązkiem było dokładnie wypytać chorego o objawy. Zapewne ma też gorączkę i boli go głowa?

Martin skinął głową.

- Wobec tego zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie zająłeś się nim dokładniej. Mam nadzieję, że sprawdziłeś, czy ma sztywny kark? A nie przyszło ci przypadkiem do głowy, że to wygląda na zapalenie opon mózgowych? - Popatrzył na niego groźnie. - Daj mi kartę. Sam go zbadam. John Greenway jest bardzo zajęty.

Martin podał mu dokumenty. Ben i Laura poszli do sali, w której leżał Colin. Ben nie odzywał się po drodze. Obawiała się nawet, czy przypadkiem nie obwinia jej za to, co się stało. Czowała się niezręcznie, ale nie chciała pogrążyć Martina i rozmawiać na jego temat.

Pacjent leżał na boku, skulony, z podwiniętymi nogami. Z trudem otworzył oczy, kiedy weszli.

- Nazywam się Kendricks, jestem lekarzem - przedstawił się Ben. - Chciałbym pana zbadać.

- Muszę jechać do domu. - Chory próbował usiąść, - Moja żona jest w ciąży,..

Ben delikatnie popchnął go z powrotem do pozycji leżącej.

- Zajrzę panu w oczy - powiedział, wyjmując z kieszeni małą latarkę.

- Ale potem będę mógł wrócić do domu? - dopytywał się pacjent.

Ben pochylił mu głowę do przodu.

- Czy boli pana szyja?

- Nie. - Spojrzał na lekarza zaniepokojony, - To tylko infekcja ucha, prawda?

- Tak, niemniej uważam za konieczne pozostawienie pana w szpitalu. Awersja do światła i nudności oznaczają, że jest pan bardziej chory, niż pan przypuszcza. Ale - uśmiechnął się, żeby mu dodać otuchy - zatrzymamy pana na obserwacji, damy antybiotyki i wszystko wróci do normy.

Colin Bradley nachmurzył się.

- Po co obserwacja? Czyżbyście podejrzewali zapalenie opon mózgowych? - zapytał z niepokojem. - Mój siostrzeniec na to umarł.

- Nie sądzę, żeby choroba już się rozwinęła, ale chcemy jej ewentualnie zapobiec,

- Myślałem, że zapalenie opon mają tylko dzieci - zdziwił się pacjent.

- Dorośli zapadają na nie wtedy, gdy nie wyleczą jakiejś dokuczliwej infekcji, na przykład zapalenia ucha.

Ben wstał z łóżka, a wtedy Colin Bradley chwycił go za rękę.

- Ale co będzie z moją żoną? Jest w ciąży, to nasze pierwsze dziecko - tłumaczył poruszony.

- Czy ma pan jakichś krewnych?

- Moi rodzice mieszkają niedaleko - odparł chory z rezygnacją, opadając na poduszkę.

- Proszę podać siostrze numer telefonu. Ona ich zawiadomi. Na pewno zaopiekują się pańską żoną. Proszę się nie martwić, antybiotyki szybko panu pomogą.

Laura z podziwem obserwowała opanowanie Bena. Przecież pacjent był pełen obaw, kiedy wchodzili na salę, a on zdołał go uspokoić do tego stopnia, że pożegnał ich z uśmiechem na twarzy.

Jak to się stało, iż jego uprzejmość i rozwaga nie dotyczyły Davida i małego Timmy'ego? - zastanawiała się, kiedy zostawił ją w końcu samą z pacjentem.

Zanotowała numer telefonu i adres rodziców Colina Bradleya, po czym poszła do gabinetu lekarskiego.

Nie zastała tam Martina, natomiast Ben wydawał dyspozycje Celi Jackson.

- Trzeba mu jak najszybciej podłączyć kroplówkę. Siostra ma numer telefonu jego rodziców - powiedział, spoglądając na Laurę. - Proszę ich szybko zawiadomić, żeby mu zaoszczędzić zmartwień.

- Zaraz to zrobię - obiecała Celia, biorąc kartkę i wpisując numer do dokumentacji pacjenta.

- Powiem mu, że wszystko załatwione i może być spokojny - oznajmił Ben i wyszedł z pokoju.

- Dobrze by było, żebyś posiedziała z panem Bradleyem, dopóki go nie zabiorą na górę - zwróciła się siostra Jackson do koleżanki.

- Dobrze - zgodziła się Laura.

Nie czekała długo, lecz z dyżuru wyszła po czasie.

Wejście na oddział urazowy znajdowało się z boku. Dobudowano ten oddział wiele lat po powstaniu szpitala, był więc nowoczesny i dobrze wyposażony. Najstarszy budynek znajdował się w śródmieściu przy Ledborough Road. Kiedy go stawiano, nie było wokół miejsca na zielen. Miejscowa służba zdrowia wykupiła jednak duży, opustoszały obiekt zlokalizowany tuż obok, później zburzyła go, a na jego miejscu postawiono właśnie oddział urazowy. Resztę terenu adaptowano na niewielki park, w którym chorzy spotykali się z rodzinami.

Laura wyszła ze szpitala, znów zajęta myślami o Benie. Idąc przez park, zerknęła na widoczną stamtąd ulicę, żeby sprawdzić, czy nie nadjeżdża autobus, i wtedy zobaczyła Rose Powell. Dziewczyna siedziała pochylona, z głową opartą na kolanach.

Laura nie wiedziała, że chwilę wcześniej pojawił się tam również Ben. Zauważył młodą matkę przez okno, kiedy schodził z oddziału dziecięcego, kierując się w stronę parkingu. Prawdopodobnie uciekłaby, ale była tak zamyślona, że nawet nie zauważyła, kto do niej podchodzi.

Ben usiadł przy Rose i wziął ją za rękę. Zwrócił uwagę, że dziewczyna jest wręcz wychudzona. Twarz miała zmęczoną, malował się na niej wyraz desperacji. Był pewien, że jego podejrzenia są słuszne.

- Panno Powell - odezwał się łagodnie - pani wcale nie upuściła synka, prawda?

- A niby skąd pan to wie? - rzuciła wyzywająco, próbując mu się wyrwać.

- Pracowałem kiedyś w szpitalu w okropnej dzielnicy. Widywałem wtedy maltretowane dzieci. Wiem, że pani synek nie został pobity.

Nagle Rose rozplakała się.

- Nie, nie upuściłam go. Rzeczywiście sturlał się z kanapy, kiedy stałam w drzwiach. Myślałam tylko: skoro się poturbował, wszyscy będą uważali, że go pobiłam, więc zabiorą mi go, dając to wszystko, czego ja nie mogę mu zapewnić! - wyrzuciła z siebie.

- To nie jest dobry pomysł - oświadczył Ben. - Odnotowaliby panią w kartotece jako matkę, którą należy obserwować i ewentualne kolejne dzieci również będą pozostawały pod obserwacją. Przecież pani tego nie chce, prawda?

- Ben spojrzał na nią życzliwie.

- Chcę tylko, żeby Timmy żył w lepszych warunkach

- oznajmiła wojowniczo.

- Wobec tego mam dla pani propozycję, którą trzeba przemyśleć.

Wyjaśniał jej długo swój plan, a kiedy wreszcie skończył, cierpliwie czekał na odpowiedź. Rose zastanawiała się, analizowała dokładnie jego słowa, w końcu powiedziała cicho:

- Rozważę to.

- Proszę mi dać znać, gdy podejmie pani decyzję. Dla dodania dziewczynie otuchy, położył jej rękę na ramieniu, ścisnął delikatnie i dopiero wtedy odszedł.

Miała taki strapiony wyraz twarzy, że Laura patrzyła na nią ze szczerym współczuciem. Zrobiła krok w jej stronę, ale Rose spojrzała na nią nieufnie, zerwała się z ławki i pobięła przed siebie.

Laura zastygła w bezruchu, dręczona poczuciem winy. Nawet nie spostrzegła, gdy podjechał autobus. Dlaczego Rose

jeszcze tutaj siedziała? Przecież powinna już być bardzo daleko.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Laura obawiała się zaplanowanego na piątek spotkania z Benem, dlatego starała się zająć myśli czymś innym. Mimo że absorbowwała ją praca, nie mogła się uwolnić od wspomnień. Ben był w nich ciągle obecny. Wszystko przez ten pocałunek, przez chwilę nieuwagi czy zapomnienia. Przedtem łatwiej było udawać, że nie jest nim zainteresowana, ale od chwili, gdy jej dotknął, zawładnął jej zmysłami. Rozpaczliwie go pragnęła, tęskniła za nim, a jednocześnie dręczyło ją poczucie winy.

W czwartek rano, w drodze na przystanek autobusowy, spotkała Audrey Fennel, sąsiadkę z góry, mieszkającą wraz z mężem w tym samym domu, co ona i Sally.

Właściwie obie z przyjaciółką nie utrzymywały bliższych kontaktów z sąsiadami, ale Audrey dobrze znały, bo pracowała jako sekretarka w ich szpitalu. Była ładną blondynką o włosach sięgających do ramion.

- Cześć. Jak się czujesz, przyszła mamó? Dalej dokuczają ci poranne nudności? - zapytała Laura z troską, widząc przygnębienie dziewczyny.

- Miałam nadzieję, że od dziesiątego tygodnia ciąży poczuje się lepiej. Niestety, nic z tego.

Autobus przyjechał bardzo zatłoczony i o miejscu siedzącym nie było mowy. Stały z tyłu, ale w takim tłumie nie mogły swobodnie rozmawiać.

Gdy tylko wysiadły, Audrey kontynuowała:

- Dziś rano zobaczyłam plamkę krwi. Może powinnam zostać w domu?

- Dobrze byś zrobiła.

Laura starała się zachować spokój, żeby jeszcze bardziej nie przestraszyć sąsiadki, zagroziła jej jednak wejście do administracyjnej części szpitala.

- Nie czułam bólu. Zresztą jestem jeszcze na stażu - tłumaczyła Audrey, coraz bardziej zmartwiona. - Jeśli pójdę na zwolnienie, mogę stracić etat.

- Chodźmy - nakazała Laura z uśmiechem, starając się ukryć swoje obawy, i pociągnęła ją w stronę izby przyjęć.

- Powinien cię zbadać lekarz.

- Ale spóźnię się do pracy. - Audrey prawie płakała.

- Poza tym nikt w szpitalu nie wie, że jestem w ciąży.

- Zgodzisz się chyba, że najważniejsze jest teraz dziecko?

- Jasne - szepnęła dziewczyna i posłusznie ruszyła za koleżanką.

- Prędzej czy później i tak się dowiedzą. - Laura wprowadziła ją do pustej salki. - Przecież niedługo ciąża będzie widoczna.

Audrey uśmiechnęła się słabo.

- Leż spokojnie - przykazała Laura, zdejmując jej buty i pomagając się położyć. - Poproszę ginekologa, żeby cię zbadał, ale najpierw sama zmierzę ci temperaturę i ciśnienie i zbadam tętno.

Wyniki były w normie.

- Czy teraz nie krwawisz? - zapytała. Audrey zarumieniła się.

- Włożyłam podpaskę. Wydaje mi się, że jest wilgotna.

- Przyniosę ci świeżą.

Po drodze weszła do pokoju siostry Jackson i poinformowała ją o problemie sąsiadki.

- Zadzwoń po ginekologa - zaproponowała Celia, sprawdzając listę dyżurujących lekarzy. - Dzisiaj jest doktor Jane Grant. Zostań z pacjentką do czasu jej przyjścia.

Wróciła więc do Audrey. Zaraz po niej nadeszła lekarka. Była to miła kobieta w średnim wieku.

- Proszę mi powiedzieć, co się stało - zwróciła się do Audrey z opanowaniem, które przywróciło spokój Laurze i ciężarnej.

- Boję się, że mogę stracić pracę - tłumaczyła dziewczyna, kiedy lekarka zapoznała się już z objawami. - Mojemu mężowi również grozi zwolnienie. Pracuje jako elektryk w firmie, która jest właśnie przejmowana przez nowego właściciela. Ponieważ różnie się to może skończyć, ja wzięłam etat w szpitalu. Potem zaszłam w ciążę - mówiła ze łzami w oczach.

- Proszę się opanować - poradziła lekarka, delikatnie badając brzuch dziewczyny. - Na pewno nie straci pani pracy. Potrzebujemy dobrych sekretarek. Porozmawiam o tym z przełożonymi - przyrzekła. - Przez kilka dni zostanie pani tutaj na obserwacji. Siostra oddziałowa powiadomi o tym męża. - Uśmiechnęła się do Laury.

- Zaraz wracam - powiedziała Laura do Audrey, wychodząc za lekarką.

- Nie sędzę, żeby były powody do obaw, ale na wszelki wypadek zostawimy ją tu na trochę - oznajmiła Jane Grant. - Przynajmniej odpocznie i się uspokoi. - Weszły do pokoju siostry Jackson. - Czy mogę skorzystać z twojego telefonu, Celio? - zwróciła się do pielęgniarki.

- Oczywiście, proszę.

Jane wydała dyspozycje personelowi oddziału, po czym zadzwoniła do sekretariatu, gdzie pracowała Audrey, i przedstawiła sytuację. Odłożywszy słuchawkę, poprosiła Laurę, by uspokoiła pacjentkę:

- Na pewno nie straci pracy. Jej szef jest bardzo wyrozumiały.

Nic dziwnego, że ta lekarka jest lubiana zarówno przez personel, jak i przez chorych, pomyślała Laura. Jest wyjątkowo życzliwa dla wszystkich.

Pobiegła do koleżanki, żeby jej przekazać dobrą wiadomość.

- Dzięki - ucieszyła się Audrey.

Tego wieczora, podczas wspólnej kolacji, Sally z niepokojem spoglądała na przyjaciółkę.

- Czy coś ci dolega? Niezbyt dobrze wyglądasz - stwierdziła wreszcie.

- Nic mi nie jest - odparła Laura, zmuszając się do zjedzenia sałatki. - Po prostu mieliśmy dziś dużo pracy.

- W przyszłym tygodniu, kiedy zaczną się wakacje, będzie jeszcze więcej - jęknęła Sally.

- Gdyby władze miasta kazały wyciąć wszystkie drzewa i osuszyć wszystkie stawy i rzeki, byłoby mniej pacjentów - zauważyła Laura.

- Trzeba by również wycofać z użycia deskorolki i zakazać jazdy na rowerach - roześmiała się przyjaciółka.

Po kolacji przeszły do salonu na kawę.

- Umówiłam się na jutro z Benem w kancelarii adwokackiej - powiedziała Laura. - Porozmawiam z prawnikiem o kupnie mieszkania.

- Świetnie. Zamierzamy się pobrać w sierpniu. Nie chcemy dłużej zwlekać. I tak straciliśmy już dużo czasu.

- Jestem pewna, że wszystko dobrze się ułoży.

- O której masz to spotkanie? - zapytała Sally, zabierając filiżanki ze stołu.

- O... - Laura szeroko otworzyła oczy z przerażenia.

- Nie wiem. Pamiętam, że mówiłam Benowi, że nie mogę po piętnastej, bo mam dyżur, ale od tamtej rozmowy nie rozmawialiśmy o tym.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Laura podniosła słuchawkę. To był Ben. Zupełnie jakby słyszał wcześniejsze pytanie, powiedział:

- Czy odpowiada ci godzina jedenasta? Chętnie po ciebie przyjadę.

- Tak, mogę o jedenastej, ale... nie trudź się, nie przyjeżdżaj po mnie - odparła sucho.

I tak już denerwowała się samym spotkaniem, wołała więc uniknąć przebywania z nim sam na sam w samochodzie.

- W porządku - odrzekł.

Zrobiło jej się przykro, że tak szybko zakończył rozmowę. Również rzeczowy, niezbyt ciepły ton jego głosu napełnił ją smutkiem. Trzymała w ręku słuchawkę, a długi sygnał zdawał się symbolizować jej życie: nieprzerwane monotonne pasmo, nic ciekawego się nie dzieje, chociaż...

- Czy mogę zadzwonić? - usłyszała za sobą głos Sally.

- Och, przepraszam. - Odłożyła wreszcie słuchawkę.

- Pozmywam - zaproponowała.

Gdyby tak można było usunąć niepokój, jaki Ben wprowadził w jej życie, równie łatwo jak brud z talerzy, myślała ironicznie, pochłonięta tym niezbyt frapującym zajęciem.

Następnego dnia do jedenastej czas dłużył się jej niemiłosiernie. Nie mogła się zdecydować, w co się ubrać. Od śmierci Davida nigdy nie stanowiło to problemu; nosiła to, co wpadło jej w ręce.

Przetrząsając szafę, uświadomiła sobie, że chce wybrać coś, co by się spodobało Benowi. Muszę się opanować, gromiła siebie w duchu. Niby dlaczego miałabym się ubierać dla niego?

Wreszcie wybrała prostą beżową spódnicę i bluzkę tego samego koloru, w niewielkie wzorki. Kremowy sweter, brązowe buty i torebka dopełniały stroju. Przejrzała się w lustrze i westchnęła z rezygnacją. Nie wyglądała zbyt elegancko.

Wsiadła do swego starego, zniszczonego samochodu z marsową miną. Z pensji nie mogła sobie kupić nowego auta, a nie chciała prosić Bena o pieniądze pozostawione przez Davida.

Spóźniła się z powodu korków.

- Szkoda, że nie chciałaś, żebym po ciebie przyjechał - oznajmił Ben, przyglądając się jej badawczo, a jednocześnie próbując ukryć zadowolenie, jakie sprawił mu jej widok.

Wyglądała bardzo kobieco, mimo swego banalnego stroju.

Ben miał na sobie jasnoszary garnitur, białą koszulę i krawat z emblematem uniwersytetu - tej samej uczelni, którą kończył David. Nagle Laura poczuła dziwną tęsknotę i z przestrawieniem uświadomiła sobie, że pragnie dotyku Bena, a nie zmarłego męża.

Uśmiech zastygł mu na ustach, kiedy zobaczył wyraz jej twarzy. Na szczęście na korytarzu pojawiła się sekretarka, prosząc ich do pokoju adwokata Thompsona.

- Dzięki, Janet - odparł Ben ze swoim charakterystycznym uśmiechem.

Laura zdążyła zauważyć, że obdarzał nim wszystkie kobiety. Gdzieś w głębi jej duszy odezwała się zazdrość. Nie wiedziała, że Ben dobrze znał Janet Brant i jej męża, któremu robił resekcję żołądka.

Hugh Brant, dystrybutor leków w firmie farmaceutycznej, której szefem był ojciec Bena - Richard Kendricks - od dłuższego czasu cierpiał na wrzód żołądka. Któregoś dnia Hugh był właśnie w biurze, kiedy Ben przyjechał na lunch z ojcem. Ich wzajemne stosunki uległy poprawie po śmierci matki, Mariny Kendricks, która zmarła na raka. Obydwaj uwielbiali tę łagodną kobietę. To po niej Ben odziedziczył życzliwość i dobre serce. Ojciec bywał bezwzględny, syn zaś usiłował zwalczyć w sobie tę cechę, mimo wszystko jednak zdarzało mu się postępować podobnie.

Ledwie Hugh przekroczył próg gabinetu Richarda, zwymiotował na dywan. Ben rozpoznał krwawiący wrzód żołądka, wezwał pogotowie i pojechał z chorym do szpitala, w którym od niedawna pracował.

Była to pierwsza poważna operacja, którą przeprowadził. Wykonał ją samodzielnie, chociaż pod okiem konsultanta, nic więc dziwnego, że interesował się losami Brantów.

- Wchodzimy, Lauro - powiedział, wpuszczając ją pierwszą.

- Oczywiście - bąknęła, usiłując stłumić w sobie uczucie zazdrości.

Musiała bardzo uważać, żeby się o niego nie otrzeć w progu, bo nie otworzył drzwi wystarczająco szeroko. Mijając go, poczuła znajomą woń wody toaletowej, która natychmiast przywiodła jej na myśl scenę z jego mieszkania. Zapach był delikatny, a zarazem orzeźwiający, jak wspomnienie morza w upalny dzień - rześkiego i chłodnego. Pasował do niego: żarliwa namiętność w środku, a na zewnątrz chłód.

- Dzień dobry, pani Osbourne. - James Thompson wstał zza biurka i wyciągnął do niej rękę. - Miło mi.

Był to starszy pan w wieku niemal emerytalnym. Siwizna przyprószyła mu skronie, dodając godności.

- Ben przedstawił mi cel waszej wizyty - powiedział, prowadząc ją do krzesła. - Przygotowałem już dokumenty.

Szybko dopełniono formalności. Kiedy składała swój podpis na formularzach, uwalniając się tym samym od kurateli Bena Kendricksa, poczuła się jak statek, który zgubił kotwicę.

Spojrzała na Bena, stojącego za jej krzesłem. Sprawiał wrażenie statecznego, godnego zaufania człowieka. Nie chodziło o wygląd, lecz o to, co sobą reprezentował. Ben wiedział, czego chce, był silny i konsekwentnie dążył do wytyczonego przez siebie celu. Laura zazdrościła mu

pewności siebie, chociaż właśnie ta cecha irytowała ją. Gdyby chociaż przyznał, że pomylił się w przypadku Davida!

Widocznie wyczuł jej wahanie, bo uśmiechnął się w ten sam charakterystyczny sposób, w jaki zwykł się uśmiechać Jo pacjentów.

- Daj znać, gdybyś mnie potrzebowała - szepnął. Dobre sobie - „potrzebowała”. Oczywiście, że go potrzebuje, ale zupełnie inaczej niż on sobie wyobraża. Przecież wciąż toczy z sobą walkę, stara się wyrzucić go z serca.

- Dzięki, ale nie wydaje mi się, żeby to było konieczne - powiedziała, a oczywiste kłamstwo niemal sparzyło jej usta.

W świetle wpadającego przez okno słońca ujrzała głęboką bruzdę na jego czole. Ostry ton jej głosu poraził go. Odsunął się od niej.

Na szczęście pan Thompson przeglądał papiery w szufladzie biurka, chyba więc nie zwrócił uwagi na sprzeczkę swoich klientów. Teraz podszedł do nich i odprowadził w kierunku drzwi.

- Proszę do mnie dzwonić, chętnie udzielę wszelkich rad - zwrócił się do Laury.

- Dziękuję.

Już mieli wyjść, kiedy nagle przypomniała sobie o mieszkaniu.

- Jest jeszcze jedna sprawa. Chciałabym kupić mieszkanie, które dotychczas dzieliłam z koleżanką. Należy do niej.

- Nie widzę żadnego problemu - oświadczył prawnik. - Mam pani adres, za kilka dni przyślę rzeczoznawcę.

Podziękowała mu i wyszła na korytarz, gdzie czekał na nią Ben. Kiedy znaleźli się na dworze, zerknął na zegarek.

- Jest dopiero wpół do pierwszej. Nie sądzisz, że powinniśmy uczcić zakończenie tej sprawy? Proponuję wspólny lunch - powiedział serdecznym tonem.



- Dobrze - zgodziła się szybko.

Chciała jak najdłużej cieszyć się poczuciem bezpieczeństwa, jakie dawało jej towarzystwo tego mężczyzny. Przynajmniej tak to sobie tłumaczyła.

Ben ujął ją pod ramię i zaprowadził do swojego samochodu, zaparkowanego niedaleko kancelarii.

Wsiadając, nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, którego doznała pod wpływem jego dotyku. Czuła dziwne ciepło i wcale nie miało to związku z pogodą. To bliskość Bena tak na nią działała. Coraz trudniej jej było panować nad sobą. Otworzyła okno.

- Kiedy ruszymy, będzie chłodniej - odezwał się Ben. To nie pomoże. I tak będzie mi gorąco, pomyślała.

- Proponuję lunch w restauracji znajdującej się w parku. Podają tam dobre dania, poza tym to trochę na uboczu, więc nie ma tłoku - powiedział.

- Świetnie - ucieszyła się.

Dziś park powinien wyglądać pięknie, pomyślała. Na pewno zakwitły już róże.

Nie rozmawiali przez całą drogę. Wreszcie zaparkowali w pobliżu restauracji. Laura odetchnęła z ulgą: nareszcie minie napięcie spowodowane bliskością Bena. Wsiadając, wzięła ze sobą sweter.

- Nie będzie ci potrzebny - zauważył.

W gruncie rzeczy miał rację, ale jak zwykle wołała postawić na swoim.

Wnętrze zachowało atmosferę sprzed lat. Było przestronne, stoliki ustawiono w dużej odległości od siebie, dzięki czemu klienci mogli swobodnie rozmawiać. Kelnerki ubrane w czarne spódnice z białymi fartuszkami nosiły czepki obramowane koronką. Nieskazitelne obrusy z jedwabiu, z odpowiednio dobranymi serwetkami i srebrną zastawą, sprawiały wrażenie powrotu do jakiejś spokojniejszej i

bardziej luksusowej epoki. Nic dziwnego, że ta sceneria podziałała na Laurę kojąco.

Zajęli stolik pod oknem. Cieszyła się z tego, gdyż pod pretekstem oglądania roślin mogła unikać wzroku Bena.

Kelnerka przyniosła karty. Laura nie była głodna, zamówiła więc tylko sok owocowy i sałatkę z jajek.

- To nie dostarczy ci energii na resztę dnia, a z pewnością będziesz miała w szpitalu sporo pracy - zauważył Ben.

Dla siebie zamówił rybę. Oddając kartę kelnerce, uśmiechnął się czarująco.

- Nie jestem głodna - tłumaczyła się Laura, żałując, że nie dla niej przeznaczył ten uśmiech.

Wyglądała na tak przygnębioną, że miał ochotę wziąć ją w ramiona i przytulić jak dziecko.

- To dość trudny okres w twoim życiu. Pewien etap dobiegł końca - powiedział ze zrozumieniem, wyciągając ku niej rękę.

Nie cofnęła swojej.

- To prawda - szepnęła, czując, że do oczu napływają jej łzy.

Nie dziwiła się, że Ben ją rozumie. Miał przecież niezawodną intuicję, nie domyślał się jednak przyczyny jej bólu, który wynikał z przeświadczenia o końcu ich formalnego związku. Powinna się przecież cieszyć, że nie będą się już spotykali, nie licząc kontaktów zawodowych. Ale wbrew wszelkiemu rozsądkowi nagle zapragnęła, by ją przytulił. Co więcej, najchętniej pozostałaby z nim na zawsze.

Nagle uświadomiła sobie, że go kocha, że kocha go od chwili, gdy się poznali, ale tłumiała to uczucie, bo przecież kochała też Davida i była jego żoną.

Uczucie do męża wyglądało inaczej. Żyli w zgodzie i harmonii, ale nie łączyła ich taka namiętność, jaką przeczuwała w ewentualnym związku z Benem.

Świadoma komplikacji, wiedząc, że nie powinna się z nim spotykać, za wszelką cenę usiłowała zwalczyć cichą rozpacz. Siłą się na pogodny ton, powiedziała więc tylko:

- Chcę żyć pełnią życia, oczywiście na ile to możliwe.
- To dobrze - skomentował z uśmiechem.

Odwzajemniła uśmiech i z wolna napięcie zaczęło ją opuszczać. Mogli więc już prowadzić swobodną rozmowę na obojętne tematy, Kiedy po skończonym posiłku ruszyli do wyjścia, usłyszeli z tyłu kobiecy głos:

- Cześć, Ben,

Pochłonięci sobą nie rozglądali się po sali, nie zauważyli więc Bei Nicholson, która siedziała przy stoliku z jakąś starszą panią, chyba - sądząc z podobieństwa - ze swoją matką. Wyglądała bardzo szykownie w sukience bez rękawów, w odcieniu błękitu pasującym do jej oczu. Laura nagle zaczęła żałować, że nie zadała sobie trudu, by kupić trochę nowych rzeczy. W porównaniu z Beą wyglądała zapewne bezbarwnie.

- Czekam wieczorem o wpół do ósmej, tak jak uzgodniliśmy - powiedziała Bea z czarującym uśmiechem, ignorując towarzyszkę Bena.

- Do zobaczenia - odparł.

Dopiero teraz Laura zrozumiała, dlaczego tamta traktowała ją zawsze tak chłodno. Ben jej się podobał, ona mu również, o czym świadczył chociażby sposób, w jaki na nią patrzył. Cóż, trudno się dziwić, że tak interesujący mężczyzna spotyka się z tą ładną kobietą. Może nawet jest jej kochankiem?

Kiedy wyszli na zewnątrz, zaproponował:

- Podwiozę cię do twojego samochodu,
- Dziękuję, nie trzeba - zaproponowała stanowczo. Łudziła się, że samotny spacer przez park uspokoi ją i pozwoli zapomnieć o denerwującym spotkaniu.

- Jak chcesz - odpowiedział, ale nie zawrócił. Przeciwnie, ruszył za nią.

Laura nachmurzyła się.

- Chcę zostać sama - rzuciła ostro.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł - powiedział, ignorując jej ton.

Przystanęła.

- To typowe dla ciebie. Zawsze jesteś przekonany, że masz rację.

- Oczywiście. - Roześmiał się, ale szybko spoważniał. - Chciałbym z tobą porozmawiać na osobności. - Nikogo nie było w pobliżu, słyszeli tylko świergot ptaków. Ben podszedł bliżej. - Chcę wiedzieć, czy zaczynając nowe życie, przewidujesz w nim jakieś miejsce dla mnie? - zapytał cicho.

- Może... - szepnęła, zapominając o niedawnej rozpacz. Ben zdawał się hipnotyzować ją spojrzeniem.

Podszedł jeszcze bliżej, tak że niemal się dotykali. Po chwili objął ją i mocno pocałował. Jej serce zabiło radośnie. Nie mogła dłużej nad sobą panować. Ciało zdawało się topnieć, zmysły płonęły. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się całym ciałem, spragniona jego czułości. W tej samej chwili jednak przyszła jej do głowy niepokojąca myśl: czyżby małżeństwo z Davidem było pomyłką?

Wyrwała mu się, a gdy znów się zbliżył, powstrzymała go ruchem ręki.

- Nie, to niemożliwe, Ben - szepnęła, drżąc z podniecenia.

- Nie zaprzeczaj. Chcesz mnie tak samo jak ja ciebie.

- Zbyt wiele nas dzieli... - Głos uwiązł jej w gardle, a po policzkach popłynęły łzy.

Odwróciła się i pobiegła do samochodu, pozostawiając go w niepewności i udręce.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

W sobotę Laura wchodziła do izby przyjęć, kiedy dogonił ją Martin. Była zmęczona po nie przespanej nocy, podczas której nękały ją myśli o Benie. Wyobrażenia podsuwała jej erotyczne sceny, nic więc dziwnego, że gdy wreszcie zasnęła, przyśnił jej się David, uśmiechający się ze zwykłą sobie ufnością. Obudziła się z wielkim poczuciem winy.

- Czyżbyś się posprzeczała z ukochanym? - zagadnął Martin, widząc napięcie na jej twarzy.

- Z jakim ukochanym?! - zawołała oburzona.

- Z Benem Kendricksem.

- On zarządzał majątkiem mojego męża. Nie jest moim facetem!

- Ach, tak! - Oczy Martina rozjaśniły się. - Wobec tego...

- Wobec tego co? - usłyszeli za sobą głos Bena.

- Nic - uciał Martin i odszedł w stronę gabinetu lekarskiego.

- O czym rozmawialiście? - zapytał Ben.

- O niczym - Laura zawtórowała Martinowi. - Jak się czuje Robert? - spytała, starając się zdobyć na obojętny ton.

Zauważyła, że Ben również wygląda na niewyspanego.

- Bałem się zapalenia otrzewnej, kiedy wyrostek pękł podczas operacji. Podaliśmy antybiotyki, dzięki czemu udało się opanować sytuację, ale chłopak jest bardzo osłabiony i dość długo jeszcze nie będzie w formie - wyjaśnił zmartwiony. - Może dobrze by mu zrobiła twoja wizyta? - spytał z uśmiechem. - Wiem, że mnie by wyleczyła błyskawicznie.

Myśl o ewentualnej chorobie Bena napełniła ją takim smutkiem, że powiedziała cicho:

- Nie martw się, odwiedziłabym cię na pewno. Natychmiast zresztą pożałowała tych słów. Poczwała się nieswojo, widząc w jego oczach błysk pożądania.

- Mam za to dobre wieści o Colinie Bradleyu. Duże dawki antybiotyku powstrzymały zapalenie opon mózgowych - powiedział rzeczowo, gdyż natychmiast zauważył jej nagły chłód.

- Cieszę się.

- Nie wątpię - rzucił z sarkazmem, po czym odwrócił się i szybko odszedł.

Patrząc za nim, czuła dziwny żal, jakby wraz z jego odejściem straciła część siebie.

Zajrzała do Roberta dopiero po południu, gdy skończyła dyżur,

- Jak się dzisiaj czujesz? - zagadnęła, stawiając butelkę soku pomarańczowego na stoliku przy łóżku chorego.

- Dobrze - odparł z niepewnym uśmiechem. - Dziękuję za sok.

Odniosła wrażenie, że znacznie szybciej by doszedł do siebie, gdyby był w lepszej formie psychicznej.

- Czy naprawdę nie chcesz, żebym powiadomiła o wszystkim twoich rodziców? - zapytała, przysuwając krzeselko bliżej łóżka.

- Nie - odpowiedział stanowczo.

- Ale twoja mama...

- Kazałaby mi natychmiast wracać do domu - przyznał załamany. - A nie mogę tego zrobić.

- Czego? - zapytał Ben, który jak zwykle zaskoczył Laurę niespodziewanym wejściem.

Widząc, że zamierza wstać, położył jej ręce na ramionach, chcąc ją powstrzymać.

- Och, nic takiego - bąknął Robert.

Ben nie nalegał. Zdjął dłonie z ramion Laury, a wtedy poczuła się tak, jakby jej czegoś ubyło.

- Jak się dzisiaj czujesz? - powtórzył pytanie, które przed chwilą zadała Robertowi, przeglądając jednocześnie kartę chorobową.

- Dobrze - padła taka sama odpowiedź.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? - Laura zwróciła się do Bena, bo chociaż zdążyła już zdjąć strój pielęgniarstwa, wciąż znajdowali się przecież na terenie szpitala, przy łóżku chorego.

Ben rozejrzał się po sali.

- Była ze mną pielęgniarka, ale gdzieś się zapodziała. To ta oszłamiająca blondynka, która chyba od niedawna pracuje na tym oddziale.

W chwilę później weszła Michelle Pearson.

- Przepraszam, panie doktorze... Szukałam danych pacjenta - usprawiedliwiała się.

- Już je mam - rzekł Ben, machając jej kartą przed oczami.

- Ach, tak. - Dziewczyna zmieszała się. Ben uśmiechnął się wyrozumiale.

- Chyba nie będziesz miała nic przeciwko temu, żeby zamiast ciebie została tu ze mną siostra oddziałowa, prawda?

- Oczywiście - zapewniła Michelle.

Laura spojrzała na Roberta i widząc w jego oczach rozczarowanie, próbowała odgadnąć, co myśli. W końcu Ben był lekarzem, nie mogła mu odmówić współpracy przy opiece nad chorymi.

- Proszę wrócić za kilka minut, sestro - powiedziała uprzejmie.

- Dobrze - uśmiechnęła się Michelle i szybko wyszła. Ben spojrzał uważnie na Laurę.

- Muszę jeszcze zajrzeć do innych pacjentów - oznajmił ostro.

Zaskoczył ją nagłą zmianą tonu. Przecież sływał z uprzejmości wobec współpracowników! Może zareagował w ten sposób pod wpływem napięcia, które między nimi narastało?

Widocznie zauważył jej zdziwienie, bo starał się usprawiedliwić swoje postępowanie tym, że mało spał ostatniej nocy.

- Rozumiem.

Słyszała przecież o wypadku, który się zdarzył nad ranem, podczas jego dyżuru, nic więc dziwnego, że jest zmęczony.

- Sostro! - Oстрыm tonem wyrwał ją z zamyślenia. Laura aż podskoczyła.

- Przepraszam - bąknęła, podobnie jak wcześniej Michelle.

Spojrzał na nią z irytacją, po czym odwrócił się do pacjenta.

- Muszę cię zbadać - powiedział.

Delikatnie dotykał jego brzucha. Chłopak skrzywił się z bólu.

- Dalej boli?

- Tak. A chyba powinienem już wyzdrowieć po takiej dawce antybiotyków.

- To wszystko przez zły stan psychiczny. Obawiam się, że musimy cię zatrzymać trochę dłużej, niż zamierzaliśmy.

- Żeby zapobiec dalszej infekcji - domyślił się chory.

Ben spojrzał na niego zaskoczony. Laura pamiętała, że chłopak studiował medycynę, nic więc dziwnego, że coś niecoś wiedział.

- Właśnie - potwierdził lekarz.

- Przerwałem medycynę - wyjaśnił Robert cicho.

- Rozumiem. - Ben przyjrzał mu się w zamyśleniu. - Może pobyt w szpitalu zachęci cię do podjęcia studiów na nowo?



- Nie. Nie dałbym rady... - zaczął, ale przerwał zawstydzony.

Ben udał, że nie słyszy napięcia w jego głosie. Uznał, że bezpieczniej będzie nie kontynuować tematu.

- Cóż, powinieneś teraz myśleć tylko o tym, żeby jak najszybciej wyzdrowieć.

- Spróbuję - przyrzekł pacjent.

- Może siostra Pearson ci w tym pomoże? - zasugerował Ben z dwuznacznym uśmiechem.

Robert zarumienił się.

Laura wyszła po pielęgniarkę, która kręciła się w pobliżu.

- Spróbuj go przekonać, że należy powiadomić rodziców o jego pobycie w szpitalu - powiedziała cicho, zanim weszły do chorego.

- Dobrze - zgodziła się dziewczyna.

- Czy zwróciłaś uwagę, jaki był zmartwiony, gdy powiedział, że nie dałby rady na medycynie? - zapytał Ben, kiedy znaleźli się na korytarzu.

- Może jego ojciec jest lekarzem? - zgadywała.

- Jest też prawdopodobne, że w rzeczywistości wcale nie nazywa się Wilson.

- Masz rację - przyznała z lekką irytacją, bo nieomylność Bena chwilami działała jej na nerwy.

- Sądzę, że tylko siostra Pearson może wydobyć z niego coś więcej - zawyrokował. - Chyba powinniśmy to szerzej omówić.

- Uważam, że nie ma takiej potrzeby... - Próbowwała protestować, ale chwycił ją za rękę i pociągnął do pustego pokoju.

- Nie mogłem pracować na nocnym dyżurze. Marzyłem o tobie.

Mówił niecierpliwym, zmienionym głosem, który przyprawił ją o zawrót głowy. Zachwiała się i z pewnością upadłaby, gdyby jej nie podtrzymał.

- Ja... - szepnęła, ale pocałował ją tak, że zapomniała o tym, co chciała powiedzieć.

Nagle znów powróciły wspomnienia ich pierwszego pocałunku i jej ciałem wstrząsnął błogi dreszcz. Z Davidem nigdy nie przeżywała takich emocji. Mąż nie pociągał jej tak gwałtownie, nie szalała pod wpływem dotyku jego ciała. Z Benem była gotowa zapomnieć o całym świecie. Ogarnięta podnieceniem, nie dbała nawet o to, że ktoś może wejść i zobaczyć ich w uścisku.

- Lauro, kochana... - szeptał, gdy na chwilę oderwała się od jego ust. - Od tak dawna cię pragnę.

Nie słyszała tych słów, spragniona dalszych pieszczot. Znów ją pocałował, tym razem bardziej zachłannie, i wtedy zapragnęła więcej: marzyła o spełnieniu, chciała się z nim kochać do upojenia. Nie wiedziała już, czy jej małżeństwo z Davidem było pomyłką, czy po prostu pociąg do Bena poraził ją na tyle, że straciła zdolność racjonalnego myślenia.

On pierwszy oprzytomniał i odsunął się. Patrzył na jej potargane włosy, pogniecioną bluzkę i spódnicę, ale ona na nic nie zważała.

- Ty... - Jej oczy wyrażały udrekę nie spełnionej miłości, ale Ben źle ją zrozumiał.

- David umarł, ale my żyjemy - powiedział, chwytając ją za ramiona i potrząsając mocno. - Nie możesz się wciąż okłamywać. Pragniesz mnie nie mniej niż ja ciebie, od początku naszej znajomości - mówił z płonącymi oczami.

- Nie możesz przecież zaprzeczyć, prawda? - Znów nią potrząsnął. - Odezwij się wreszcie!

- Tak, to prawda! - Energicznie poruszyła ramionami, jakby chciała się pozbyć smutku i zmieszania, a w jej oczach nagle błysnęły łzy.

Słowa prawdy i wyznanie, że pożałała go jeszcze wtedy, gdy żył mąż, przepełniły ją poczuciem winy. To było ponad jej siły. Podniosła torebkę, która zsunęła się na podłogę, wygładziła spódnicę i wybiegła na korytarz. Czy już zawsze będę przed nim uciekać? - zadała sobie pytanie. A może to nie od niego uciekam, lecz od siebie?

W obawie, że ktoś mógłby ją zobaczyć w tym stanie, zamiast jechać windą, zbiegła szybko po schodach. Po drodze zerknęła przez okno wychodzące na parking. Samochód Bena jeszcze stał, a na ławce siedziała Rose Powell, w tym samym miejscu co przedtem.

Laura stanęła na półpiętrze. Po co Rose wciąż tutaj tkwi? - myślała gorączkowo, patrząc przez szybę. Kiedy wreszcie zeszła na parter, drzwi windy otworzyły się i wysiadł Ben.

- Rose Powell siedzi na ławce przed budynkiem - oznajmiła zaintrygowana, zapominając, że przed chwilą od niego uciekła.

- Co w tym dziwnego? - spytał obojętnie.

- Po co tu przyszła? Czyżby jednak odwiedzała synka?

- Zapytaj ją.

- Przecież ty na pewno doskonale wiesz, po co się zjawia - powiedziała poirytowana.

- Owszem, wiem.

Stali w drzwiach wejściowych szpitala, patrząc na siebie wrogo.

- To dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

- Czyżbyś nie słyszała o przysiędze Hipokratesa? - zapytał z ironią.

Nie mogła zrozumieć, skąd tyle goryczy było w jego słowach.

- Oczywiście, że o niej wiem, ale w tym przypadku z pewnością nie chodzi o zachowanie tajemnicy lekarskiej.

Wprawdzie nie chciała go zatrzymywać, niemniej ciekawość zwyciężyła. Jakieś przewrotne лихо nie pozwoliło jej się wycofać. Położyła mu rękę na ramieniu, jakby się obawiała, że sobie pójdzie.

- Ale... - zaczęła.

- Nie ma żadnego ale - uciał ostro. - Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, musisz zapytać ją, a nie mnie.

Odwrócił się i poszedł do samochodu. Laura ruszyła w innym kierunku, przez skwer. Nagle podbiegła do niej Rose.

- Czy wraca pani z oddziału dziecięcego? - zapytała z przejęciem.

- Nie - odpowiedziała Laura, ze współczuciem patrząc na zasmuconą twarz dziewczyny, - Pracuję na oddziale urazowym.

- Ach, tak, przypominam sobie. Ale wtedy to pani zawoziła Timmy'ego na oddział dziecięcy, więc myślałam, że właśnie tam jest pani zatrudniona - wyrzuciła z siebie jednym tchem, po czym odwróciła się i oddaliła szybko.

Laura dogoniła ją.

- Jeśli chce go pani odwiedzić, jestem pewna, że nie będzie z tym problemu - powiedziała, starając się nie okazywać entuzjazmu. - Rodziców wpuszczają na oddział niemal przez cały dzień.

- Nie. - Rose przyspieszyła kroku. - Gdybym go odwiedziła, trudniej by mi było podjąć decyzję o oddaniu go.

Więc jednak kocha synka, pomyślała Laura z ulgą, chwytając jednocześnie rękę dziewczyny.

- Tuż za rogiem jest kawiarenka. Może poszłybyśmy na kawę? - zaproponowała.

- Przecież wcale pani nie ma ochoty na kawę w moim towarzystwie - zauważyła dziewczyna z goryczą.

- Chodźmy - nie rezygnowała Laura, wsuwając jej rękę pod ramię, żeby się nie rozmyśliła.

W gruncie rzeczy był to raczej bar niż kawiarnia. Drewniane krzesła stały przy stolikach nakrytych ceratą. Każdy z nich zdobił tradycyjny zestaw: keczup, sól i pieprz. Podawano proste dania, głównie z frytkami.

- Na co ma pani ochotę? - zapytała Laura, podejrzewając, że dziewczyna jest szczupła z powodu braku pieniędzy, a nie na skutek jakiejś wyszukanej diety.

Miała na sobie skromną spódniczkę z niebieskiej bawełny i białą bluzkę. Były to czyste, ale znoszone ubrania. Laure uderzyła zasadnicza zmiana w jej wyglądzie. Jeszcze pamiętała wymyślny młodzieżowy strój, który nosiła dziewczyna, kiedy widziały się po raz pierwszy. Nawet fryzura stała się prosta, zwyczajna. Panna Powell wyglądała na bardzo młodą, bezbronną istotę.

- Proszę tylko herbatę - powiedziała. Jednocześnie jednak pożądlivym wzrokiem spoglądała na potrawy wstawiane do kuchenki mikrofalowej.

Laura podeszła do baru i zamówiła dwie zapiekanki, frytki z fasolką i dzbanek herbaty. Wcale nie była głodna, ale obawiała się, że Rose poczuje się niezręcznie, jeśli zamówi jedzenie tylko dla niej.

- O nic przecież nie prosiłam - zdziwiła się dziewczyna, kiedy Laura postawiła na stole pełną tacę.

- Wiem, ale ja jestem głodna - skłamała - a głupio mi jeść samej.

Uśmiechnęła się zachęcająco, patrząc z niepokojem na łzy, które nagle popłynęły z oczu Rose.

- Proszę jeść. - Podsunęła jej talerz i naląła herbaty. - Ciepły posiłek dobrze pani zrobi. Chętnie posłucham, jeśli chce się pani komuś wyżalić - dodała.

Rose westchnęła ciężko.

- Rozmawiałam dziś z tym lekarzem, który badał Timmy'ego, kiedy go tu przywiozłam. Zapewniał mnie, że pracownica socjalna i pielęgniarka domowa przeprowadziły wywiad środowiskowy i potwierdziły, że jestem dobrą matką i nie mogłabym wyrządzić małemu krzywdy - powiedziała.

Laura poczuła ciepło w okolicy serca, bo nagle uświadomiła sobie, że źle osądzała Bena. Tylko dlaczego Rose jest tak przygnębiona? Co miała na myśli, wspominając wcześniej o oddaniu synka?

W milczeniu patrzyła na młodą matkę, która rozkleiła się na dobre. Łzy ciurkiem płynęły jej z oczu. Laura współczuła jej serdecznie, ale czy można było jakoś pomóc? Wyjęła z torebki chusteczkę i podała ją dziewczynie.

- Niech pani przede wszystkim zje coś ciepłego - zachęcała. - Potem porozmawiamy.

Jadły więc i piły herbatę w milczeniu.

- Kiedy Timmy spadł z kanapy, to był moment przełomowy. Zaczęłam się zastanawiać, jak mu pomóc, w jaki sposób zapewnić to, co jest potrzebne dziecku w jego wieku. Nie mam pieniędzy na utrzymanie, bo przecież nie mogę go zostawić i pójść do pracy. Pomyślałam więc, że jeśli na mnie padnie podejrzenie, że celowo go zraniłam, to wtedy odbiorą mi go i oddadzą w dobre ręce.

- W takim przypadku wytoczyliby proces sądowy i do końca życia miałaby pani wpisane w dokumentach, jakiego czynu się pani dopuściła - powiedziała Laura, ze współczuciem ujmując rękę dziewczyny.

- Wiem, doktor Kendricks już mi to mówił. Pytał, czy ktoś z rodziny nie mógłby zaopiekować się małym, ale, niestety, to niemożliwe. Moja siostra ma sześcioro dzieci i z trudem wiąże koniec z końcem, bo jej mąż jest bezrobotny. - Przerwała na chwilę i ciężko westchnęła. - Wtedy ten lekarz zaproponował adopcję. Wcześniej jakoś nie przyszło mi to do

głowy - powiedziała, marszcząc brwi. - Przyrzekł, że skontaktuje mnie z agencją, którą prowadzi jego kuzynka, i wyjaśnił, w jaki sposób taka agencja, łącznie z miejscowymi służbami społecznymi, ocenia i wybiera ewentualnych rodziców. To wspaniale, że nie bierze się pierwszych lepszych kandydatów, tylko szuka najlepszych, prawda? - Twarz Rose rozpogodziła się na chwilę.

Laura uśmiechnęła się, ale nie przerywała.

- Doktor Kendricks dał mi czas na zastanowienie - zakończyła i w jej oczach znów pojawiły się łzy.

Laura patrzyła na nią z bólem serca. Czy ta młoda matka zdoła się wyrzec tego, co bez wątpienia jest dla niej najdroższe? Ona sama nie zdobyłaby się na to. Co mogła odpowiedzieć, by nie zabrzmiało to jak pouczanie lub impertynencja?

- Czy jest jakaś szansa, że mogłaby pani poślubić ojca dziecka? - zapytała po namyśle.

- Żadna - zaprzeczyła gwałtownie. - Nie chcę go znać. - Wzruszyła ramionami. - Był żonaty, ale powiedział mi o tym dopiero wtedy, kiedy się okazało, że jestem w ciąży. Oczywiście zostawił mnie.

Laura zdążyła już dostrzec ogromną wrażliwość Rose, kryjącą się pod maską oschłości. Było jej naprawdę żal tej dziewczyny. Biedactwo. Mimo doznanego zawodu wciąż kochała ojca Timmy'ego.

- Cóż, dziecku potrzebny jest pełen ciepła dom, z troskliwą matką i ojcem - powiedziała ostrożnie.

Rose nerwowo mieszała widelcem herbatę rozlaną na spodku. Po dłuższej chwili milczenia odłożyła wreszcie widelec i spojrzała na Laurę.

- Właśnie. Tak będzie dla Timmy'ego najlepiej - przyznała.

- Ile pani ma lat? - zapytała.

- Osiemnaście.

- Czy ma pani jakiś zawód?

- Nie, pracowałam w pubie. Tam poznałam Kena.

- I chciałaby pani wrócić do tej pracy?

- Nie. - Rose zarumieniła się. - Wolałabym zostać pielęgniarką.

- Musiałaby pani skończyć odpowiednie przeszkolenie.

- Byłam dobra z biologii - pochwaliła się.

- Wobec tego nie zaszkodzi spróbować - powiedziała Laura z entuzjazmem i wydarła z notesu kartkę, na której zapisała nazwę i adres ośrodka szkolenia medycznego w Ledborough. - Proszę się tam zgłosić, jeśli się pani zdecyduje

- dodała, wręczając dziewczynie informacje.

- Przemyślę to... Tak, adopcja będzie chyba najlepszym rozwiązaniem dla mojego synka - stwierdziła Rose po chwili wahania.

- Dla pani również - dodała Laura delikatnie. - Będzie pani mogła ułożyć sobie życie od nowa.

- Chyba tak.

Chciałaby nieba przychylić przygnębionej dziewczynie, ale nie bardzo wiedziała, co jeszcze może dla niej zrobić.

- Dam pani swój adres. Proszę się ze mną kontaktować, kiedy tylko będzie pani miała ochotę - zaproponowała, dopisując na kartce z notesu swoje dane.

- Dziękuję.

Poszły razem na przystanek i rozstały się dopiero, gdy przyjechał autobus.

Laura stała jeszcze przez chwilę, patrząc za odjeżdżającą dziewczyną, potem ruszyła z wolna w stronę domu, nie zważając na siąpiący deszcz.

Była w połowie drogi, kiedy usłyszała zatrzymujący się samochód.



- Czy mogę panią podwieźć? Rozpoznała głos Bena. Wsiadła bez namysłu.

- Podejrzewam, że skorzystałaś z mojej propozycji tylko dlatego, że pada? - roześmiał się, kiedy zajęła miejsce obok niego.

- Nie. Rozmawiałam przed chwilą z Rose i... muszę cię przeprosić. Właśnie dałeś mi okazję.

- Ach, tak. - Odwrócił się od niej, żeby się skoncentrować na prowadzeniu, bo nawierzchnia zrobiła się śliska. - Mam nadzieję, że nie wymądrzałaś się zbytnio i nie zniechęciłaś jej do adopcji? - odezwał się po chwili.

- Czy ja kiedykolwiek się wymądrzam?! - spytała oburzona.

- Przepraszam. To był ciężki dzień, z wielu względów.

- Między innymi z mojego powodu?

- Niekoniecznie.

Podjechali pod jej dom, ale nie wykonała najmniejszego ruchu.

- Przykro rai, że cię krytykowałam. Przepraszam. To miło z twojej strony, że podsunąłeś Rose pomysł adopcji. W gruncie rzeczy niewiele jej powiedziałam, poza tym, że Timmy na pewno będzie szczęśliwy w prawdziwej rodzinie. - Patrzyła mu prosto w oczy. - Jak myślisz, czy w przyszłości może żałować takiej decyzji? - zapytała z wahaniem.

- Możliwe. Trudno to przewidzieć - odparł znużony i nagle wyciągnął rękę, by pogłaskać ją po twarzy. - Jeśli nie przestaniesz się tak przejmować kłopotami wszystkich naokoło, wykończysz się, zanim skończysz trzydziestkę - ogłosił z uśmiechem.

Lepiej mnie nie dotykaj, pomyślała, jednocześnie walcząc ze sobą, gdyż miała ochotę go pocałować.

- Nie mogę być obojętna wobec takich spraw - oświadczyła, chętnie wracając myślami do Rose, byleby tylko nie zaprzętać sobie głowy Benem.

- Czasami lepiej zapomnieć - powiedział cicho. - Fakt, że wciąż jeszcze myślisz o Davidzie, nie ułatwia ci życia.

Przecież myślę nie o Davidzie, ale o tobie, chciała zawołać. Lecz gdzieś na dnie serca dręczyło ją poczucie winy. Coraz częściej powątpiewała w szczerść uczuć do męża.

- Tak, nigdy o nim nie zapomnę - zapewniła bardziej siebie niż jego, a głośno wypowiedziane słowa zabrzmiały zupełnie szczerze. Nawet utwierdziły ją w przekonaniu, że to Ben jest wszystkiemu winien. - Zawsze będę pamiętać, że żyłby dłużej, gdybyś mu zalecił chemioterapię.

- Więc nadal mnie o to obwiniasz? - zapytał z goryczą, gwałtownie odsuwając się od niej. - Kiedy się całowaliśmy, miałem wrażenie, że to już przeszłość.

- Żałuję tej krótkiej chwili - powiedziała, żeby mu dopiec do żywego. Skoro ona cierpi, Ben również powinien. - Usiłuję zwalczyć uczucie do ciebie, ale...

Pochylił się i z impetem otworzył drzwi.

- Już dłużej nie będziesz musiała walczyć - oznajmił ponuro.

Kiedy odjechał, stała przez chwilę na chodniku i ze łzami w oczach patrzyła w ślad za odjeżdżającym samochodem, zanim wreszcie powolnym krokiem ruszyła w stronę wejścia do domu.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Laura wolała dyżury nocne, bo wtedy rzadziej widywała Bena. W dzień nie sposób go było uniknąć. Spotykali się na oddziale urazowym, w stołówce, na korytarzu. Z drugiej strony, kiedy wychodził z pracy wcześniej, czuła dziwny żal, chociaż starała się to ukryć.

Nie rozmawiali jednak przez kilka dni od ostatniej sprzeczki. Laura pracowała dłużej niż zwykle, bo Linda Connolly, pielęgniarka, która miała dyżurować na oddziale, zachorowała na ostrą anginę i została w domu, więc jako siostra oddziałowa musiała ją zastąpić. Na szczęście pod koniec tygodnia, w piątek, przysłano jej do pomocy Sally.

Laura wypła kawę i myła właśnie kubek, kiedy wszedł Martin.

- Czy masz już partnera na letni bal uniwersytecki? - spytał, nalewając sobie aromatycznej, parującej kawy z ekspresu.

Uniwersytet w Ledborough co roku zapraszał personel szpitala na organizowaną przez siebie uroczystość.

- O czym mówiłeś? - spytała z roztargnieniem. Tkwiła wciąż przy oknie wychodzącym na parking. Po raz kolejny tego dnia sprawdziła, czy samochód Bena jeszcze tam stoi. Była zła na siebie za tę obsesję na jego punkcie, ale okazało się to od niej silniejsze.

- Pytałem, czy masz już partnera na bal uniwersytecki - powtórzył z irytacją.

- Nie - odpowiedziała bez zastanowienia. Myślała wciąż o Benie.

- To może poszlibyśmy razem? - zaproponował Martin, wyraźnie ucieszony.

- Poszlibyśmy? Gdzie?

- To nieprawdopodobne, Lauro. - Martin nie ukrywał już złości. - Wciąż bujasz w obłokach. Przecież teraz, kiedy Ben

Kendricks nie zarządza już twoimi pieniędzmi, przestałaś go obchodzić.

Laura oprzytomniała i odwróciła się gwałtownie.

- A tobie co do tego? - spytała ze złością.

- Sama mi o tym powiedziałaś.

- Niemożli... - Nie dokończyła jednak, bo przypomniała sobie, że po wizycie u adwokata rzeczywiście wspomniała Martinowi, że Ben nie jest już kuratorem jej majątku.

- A widzisz? - Martin ucieszył się jak dziecko.

- Masz rację - bąknęła.

Z rezygnacją pomyślała, że znów musi mu wyperswadować wszelkie amory. Nigdy nie dawała mu odczuć, że się nim interesuje, a on ciągle na to liczył.

- Wiem, że zaprosił już na bal Beę.

- Ach, tak.

- Czy wobec tego pójdziesz ze mną?

- Chyba tak - odpowiedziała zniechęcona.

- Mogłabyś okazać choć trochę entuzjazmu. Odstawił filiżankę do zlewu z tak nieszczęśliwą miną, że Laurze zrobiło się go żal.

- Przepraszam, zachowuję się okropnie - powiedziała i wzięła go pod rękę.

Natychmiast pożałowała tego gestu, bo Martin ścisnął jej dłoń i oświadczył z błyskiem pożądania w oczach:

- Przyrzekam ci - zrobię wszystko, żebyś się dobrze bawiła.

Tego właśnie się obawiała. Wiedziała, że nie odstąpi jej ani na krok, podobnie jak na balu sylwestrowym, na który nieopatrznie zgodziła się z nim pójść.

- Spieszę się. Praca na mnie czeka - rzekła, wyrywając się z jego uścisku.

Wymknęła się z pokoju na korytarz, ale Martin wybiegł za nią.

- I tak idę w tę stronę - oznajmił, obejmując ją ramieniem. Nie chciała go urazić, więc doszli tak aż do izby przyjęć. Tu natknęli się na Bena, który zmierzył ich zimnym spojrzeniem. Był zdumiony, że nagle zawładnęła nim zazdrość.

Laura próbowała się oswobodzić z objęcia Martina, ale ponieważ trzymał ją mocno, postanowiła uśmiechnąć się do niego słodko, by, nie wiadomo dlaczego, zemścić się na Benie.

Świadomość, że postępuje niegodziwie, robiąc nadzieję Martinowi, żeby się bronić przed Benem, podobnie jak wcześniej, na przyjęciu urodzinowym Sally, kiedy posłużyła się Benem, by zniechęcić Martina, poruszyła jej sumienie. Co z niej za kobieta?

Poczuła się jeszcze bardziej niezręcznie, kiedy spojrzała na Martina i dostrzegła uwielbienie w jego oczach,

- Jesteś potrzebna na oddziale - odezwał się Ben ostrym tonem. - Poza tym to chyba nie miejsce i nie pora na takie czułości?

Mógłby zachować dla siebie podobne uwagi, pomyślała rozżalona. Nagle w jej wyobraźni przesunęły się romantyczne sceny z udziałem Bena i na myśl, że to on ją obejmuje, zarumieniła się mocno. Pamiętała aż nadto, jak niedawno ją całował, również na oddziale.

- Sama wiem najlepiej, co robić - rzuciła.

- To szpital - przypomniał Ben z poważną miną i w tejże chwili, jakby na potwierdzenie jego słów, rozległ się sygnał karetki pogotowia.

Martin, ociągając się, puścił jej rękę.

- Zadzwoń do ciebie - powiedział na pożegnanie.

Skinęła głową na znak zgody. Kiedy wyszedł, zwróciła się do Bena:

- Więc czego chcesz?

- Pytasz, czego chcę? Chcę się z tobą kochać - odrzekł zmienionym głosem.

Rzeczywiście, widząc, jak Laura zwilża językiem wargi, stracił głowę. Ona też z trudem panowała nad swoimi uczuciami. Pielęgniarka wcale nie była mu w tej chwili potrzebna. Skończył już dyżur i przechodził tędy w nadziei, że zobaczy Laureę. Takie zachowanie zdarzało mu się coraz częściej. Wtedy właśnie zobaczył ją z Martinem i zazdrość podsunęła mu szczerze słowa.

Ze zdumienia otworzyła szeroko oczy, po czym powiedziała złośliwie:

- No cóż, masz pecha.

Gdybyś wiedział, jak bardzo cię pragnę, pomyślała jednocześnie.

Stali zapatrzeni w siebie niedaleko gabinetu zabiegowego. Nagle drzwi otworzyły się i na korytarz wyszedł John Greenway.

- Dobrze, że cię widzę - zwrócił się do Bena. - Pomoc siostry też jest niezbędna - dodał, patrząc na Laureę.

Był to wysoki mężczyzna o rudych włosach i okrągłej, wesołej twarzy. Miał żonę i sześcioro dzieci. Laura często zastanawiała się, skąd czerpie tyle pogody ducha. Jego żona, Eileen, również sprawiała wrażenie bardzo pogodnej, zrównoważonej osoby. Przy takiej liczbie potomstwa potrafili nad sobą panować tylko dlatego, że byli szczęśliwi. Laura doszła do takiego wniosku, kiedy opiekowała się niemowlęciem pod ich nieobecność. Najstarsza pociecha miała dwanaście lat, a najmłodsza zaledwie sześć tygodni. Była to bardzo żywotna, a zarazem zdyscyplinowana gromadka.

- Mieliśmy wiadomość o wypadku. Karetka wiezie rannych.

- Owszem, już ją słyhać - włączyła się do rozmowy Sally, podchodząc do Johna.

Żadne z nich nie zauważyło napięcia między Laurą a Benem,

- Właśnie szedłem do domu - oznajmił Ben rozzalonym głosem.

John Greenway roześmiał się.

- A co robiłeś do tej pory? Już dawno powinienes być wyjść. Pewnie uganiałeś się za pielęgniarzkami - zauważył, przyglądając mu się z ukosa.

- Nic podobnego - zachnął się Ben. - Przygotowywałem materiały do pracy, którą właśnie piszę.

- Nie musisz się tłumaczyć - uśmiechnął się John, przyglądając się obojgu. - Jednak skoro tu jesteś, twoja pomoc bardzo się przyda, zwłaszcza że mamy ofiary tragicznego wypadku. Dwóch nastolatków. Jeden właśnie zdał egzamin i pędził jak szalony. Stracił panowanie nad kierownicą i zderzył się z samochodem, którym jechało małżeństwo. Mężczyzna zginął na miejscu, kobieta podobno jeszcze żyje.

- A chłopcy? - rzeczowo zapytał Ben.

- Amator szybkiej jazdy zmarł, a jego kolega jest w ciężkim stanie.

Odgłos kroków i pisk kół wózków przykuł na chwilę ich uwagę. Sanitariusze mieli przerażone miny i szybko pchali dwa wózki z pacjentami na oddział urazowy.

Laura z uwagą popatrzyła na maskę tlenową na twarzy przewożonej pacjentki. Susan Hadley, dyżurująca na oddziale, podbiegła do chorej.

- Przywieźli właśnie mężczyznę z okropnie poparzonymi nogami. Przeżył szok i zanim go ktoś znalazł, kończyny pokryły się pęcherzami. Teraz bąble popękały, a spodnie przylepiły się do ran. Ten pacjent jest bagażowym w pobliskim hotelu - wyjaśniła.

- Martin, obejrzyj tego mężczyznę - powiedział John do kolegi, który właśnie do nich podszedł.

Laura wiedziała, że Martin nie lubi pracy z pacjentami po urazach.

- Siostra Baxter ci pomoże! - krzyknęła za odchodzącym.

Po chwili dwie pielęgniarki razem z Susan Hadley do pomocy dołączyły do lekarzy na sali intensywnej terapii. Na środku pomieszczenia ustawiono obydwie wózki z uszkodzonymi. Zostały skonstruowane w taki sposób, aby w razie potrzeby można było obniżać głowę. Miały też podnoszone ścianki boczne, zabezpieczające przed wypadnięciem. Przymocowano do nich również przystawki do kroplówek. W zasięgu ręki znajdowało się całe wyposażenie niezbędne do leczenia ran, urazów i reanimacji.

Wzdłuż ścian znajdowały się pojemniki na zdjęcia rentgenowskie, szafki ze środkami opatrunkowymi, strzykawkami, igłami, a także pudełka pełne rękawiczek chirurgicznych, które od czasu rozpoznania AIDS wszyscy lekarze i pielęgniarki byli obowiązani nosić podczas wszelkich zabiegów.

W pobliżu wózków stały monitory elektrokardiograficzne i urządzenia do odsysania, aparaty do intubacji, respiratory, zestawy do udrażniania dróg oddechowych. Tuż obok kroplówki ustawiono aparaturę do wlewów dożylnych, koło niej leżały materiały opatrunkowe i narzędzia chirurgiczne, a także leki pierwszej pomocy.

W świetle sali operacyjnej okazało się, w jak ciężkim stanie byli pacjenci. Kobieta miała około trzydziestu lat, chłopak kilkanaście.

- Ty zajmij się kobietą, Ben - powiedział John Greenway, spoglądając jednocześnie na chłopca, któremu podawano już tlen.



- Proszę wypytać sanitariuszy, zanim odejdą - zwróciła się Laura do Susan. - Trzeba zdobyć jak najwięcej szczegółów o wypadku, spytać o krewnych, sprawdzić, czy w torebce kobiety są jakieś dokumenty z nazwiskiem, a potem napisać je na wywieszce.

Zaczęła przecinać w szwach ubranie pacjentki, żeby zobaczyć, jakich doznała obrażeń. Później przykryła ją kocem. Pracując, przysłuchiwała się relacji sanitariuszy.

- To był horror. Kierowca zabity, bok samochodu całkowicie wgnieciony. Kobieta była nieprzytomna, podłączyliśmy jej kroplówkę i założyliśmy maskę tlenową.

Sanitariusz przerwał na chwilę, bo zabrakło mu tchu, po czym mówił dalej:

- Drugi samochód był jeszcze bardziej zniszczony. Mieliśmy szczęście, że udało się nam wydostać rannych bez wzywania straży pożarnej. Kierowca drugiego samochodu też zginął na miejscu, a drugi pasażer jest ciężko ranny. - Sanitariusz starł ręką pot z czoła, po czym kontynuował: - Zanim stracił przytomność, zdążył nam powiedzieć, że jego kolega właśnie zdał egzamin. Próbował go powstrzymać, bo jechał za szybko na terenie zabudowanym, ale tamten był tak przejęty, że nie słuchał. W końcu stracił panowanie nad kierownicą. - Sanitariusz westchnął ciężko. - Chyba nigdy się nie przyzwyczaję do widoku zmasakrowanych ciał.

Laura zauważyła, że twarz pacjentki jest szara, chociaż podano jej tlen. Ben sprawdził, czy kroplówka została dobrze podłączona.

- Całe szczęście, że zdążyli ją założyć, zanim żyły się zapadły - powiedział. - Teraz trudno nam będzie pobrać krew.

Chociaż kobieta nie krwawiła, należało przeprowadzić badania na oznaczenie grupy krwi, trzeba też było zrobić próbę krzyżową.

Laura przygotowała aparat do pomiaru ciśnienia i założyła opaskę uciskową na ramieniu chorej. Ben szybko przemył skórę nadgarstka, wbił wenflon, nałożył przyłepiec i pobrał krew. Laura natychmiast zwolniła ucisk, a laborant zabrał próbkę do analizy.

Susan przymocowała do nadgarstka kobiety nalepkę z personaliami.

- Nazywa się Lydia Grover - poinformowała Laure.

Ben zbadał pacjentkę, starając się odkrywać jak najmniejszą powierzchnię ciała. Oprócz rany w głowie, nie doznała większych obrażeń.

- Źrenice reagują na światło - powiedział. - To dobry znak. Nie ma krwawienia z uszu i nosa - dodał, zaglądając do tych narządów, aby się upewnić, czy nie grozi krwotok wewnątrzczaszkowy. Potem osłuchiwał ją dokładnie. - Wszystko w normie, tylko rytm serca trochę przyspieszony. A ciśnienie krwi?

- Spada - odpowiedziała Laura.

Ben odsunął nieco koc, żeby zbadać brzuch, Laura zaś nasunęła pacjentce bluzkę na piersi.

- Może to po prostu wstrząs - zastanawiał się Ben. W chwili gdy to powiedział, kobieta odzyskała przytomność, zdjęła maskę i zakasłała.

- Wszystko w porządku - zapewniała Laura w obawie, że pacjentka się przestraszy. - Miała pani wypadek i jest pani w szpitalu. Czy coś panią boli?

Lydia uniosła rękę do czoła. Była śliczną kobietą o regularnych rysach twarzy i ciemnych włosach.

- Moja głowa - wymamrotała, spoglądając niepewnie na Laure. - Wypadek? Co z moim mężem? - spytała z niepokojem.

Laura nie wiedziała, jak zareagować. Jeśli jej powie, że mąż nie żyje, stan chorej na pewno się pogorszy. Już chciała bąknąć coś wymijająco, kiedy Ben wtrącił:

- Nie ma go w szpitalu.

W zasadzie była to prawda: leżał w kostnicy, która znajdowała się w oddzielnym budynku.

- Ach, tak... Tymczasem badał jej brzuch.

- Nie jest pani w ciąży, prawda? - zapytał. Lydia zaprzeczyła.

- Czy to boli?

Laura widziała, że Ben pod maską obojętności kryje jakieś podejrzenia. Coś rzeczywiście było nie w porządku. Przyglądała się, z jakim wyczuciem lekarz dotyka skóry pacjentki.

Wygląd brzucha w połączeniu z podwyższonym tętnem, spadającym ciśnieniem krwi i objawami wstrząsu - bledością, poceniem się i dusznościami - wskazywał na krwotok wewnętrzny.

Ben potwierdził jej obawy, mówiąc do chorej:

- Musimy przewieźć panią na salę operacyjną, pani... - Spojrzał na Laurę.

- Grover - odpowiedziała mu.

- Pani Grover. Podejrzewam jakieś obrażenia wewnętrzne - dokończył.

Lydia nie okazała zainteresowania diagnozą. Laura zastanawiała się, czy w ogóle zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Prawdopodobnie doznała zbyt głębokiego wstrząsu, aby myśleć racjonalnie.

Ben spojrział na Laurę, kiedy zaproponowała, że podniesie trochę górną część wózka.

- Ona ma krwotok. - Mówił tak cicho, by pacjentka nie usłyszała. - Trzeba ją natychmiast przewieźć na salę operacyjną.

Laura ceniła jego spokojny sposób bycia. Nie wprowadzał zamieszania i podejmował słuszne, zawsze uzasadnione decyzje.

- Nie sędzę, żeby była w stanie cokolwiek rozumieć. Jest w szoku - oświadczył, potwierdzając wcześniejsze przypuszczenia Laury. - Spróbuj ją jednak nakłonić do podpisania zgody na operację, ja tymczasem powiadomię personel. Podamy atropinę, to powinno wystarczyć.

Laura posłała jedną z pomocnic po sanitariusza, natomiast Ben zadzwonił na salę operacyjną, prosząc, by przygotowano wszystko do zabiegu. Odkładał właśnie słuchawkę, kiedy wszedł John.

- Co się z nią dzieje? - zapytał.

Ben zdał mu relację ze swoich podejrzeń, jednocześnie wypisując w zleceniach odpowiednią dawkę atropiny.

- Całe szczęście, że byłeś jeszcze w szpitalu, kiedy ją przywieziono - powiedział kolega.

- Dobrze chociaż, że to doceniasz - uśmiechnął się Ben.

Pogodny ton rozmowy mógł się wydawać dziwny w tak trudnej sytuacji, ale odrobina poczucia humoru w podobnych okolicznościach jest wskazana, bo rozładowuje napięcie.

Ben wręczył Laurze notatki i pobiegł na salę operacyjną, nawet nie spoglądając na nią. Obie z Sally miały dopilnować podania chorej atropiny.

- Zawieź ją na salę - poprosiła koleżankę. Pielęgniarka zabrała Lydię, a Laura została z Johnem, by wreszcie poświęcić uwagę drugiemu pacjentowi. Dopiero teraz zauważyła, że jego ciało zakryto prześcieradłem.

- Niestety, nie żyje - powiedział John, widząc jej zaskoczenie. - Miał głębokie rany, liczne pęknięcia, a nawet złamanie czaszki. - Westchnął ciężko. - Może nawet lepiej, że umarł. W takim stanie nie cieszyłby się życiem, prawdopodobnie byłby sparaliżowany.

John wyglądał na zmartwionego. Śmierć pacjenta zawsze była odczuwana przez lekarzy jako klęska, nawet wtedy, gdy wiedzieli, że uratowany człowiek do końca życia pozostałby kaleką.

- Może napijesz się herbaty? - zaproponowała.

- Świetny pomysł - przytaknął skwapliwie, ale smutek nadal widniał w jego oczach.

- Co mam z tym zrobić? - spytała Susan, pokazując torebkę Lydii.

Laura przypomniała sobie, jak się czuła, kiedy sama po raz pierwszy udzielała pomocy ofierze poważnego wypadku.

- Trzeba to zanieść do rejestracji - odpowiedziała, obejmując koleżankę. - Przechowają do czasu, kiedy pacjentka lub jej krewni będą mogli odebrać rzeczy osobiste.

Dobrze, że to nie był piątkowy ani sobotni wieczór, bo wtedy na oddziale przyjęć przeważali pijani i poszkodowani podczas awantur ulicznych. Z pewnością nie znalazłaby chwili na pocieszenie koleżanki, przerażonej, jak się okazało, pierwszym dniem pracy.

Kiedy dopełniły wszystkich formalności i mogły wreszcie usiąść przy herbacie, wszedł Martin w towarzystwie Winifred Baxter, niedawno zatrudnionej, doświadczonej pielęgniarki.

- Z tym oparzeniem trzeba będzie przejść na salę operacyjną, żeby przemyć i opatrzyć nogi - powiedział Martin.

- Widocznie facet odwrócił się nagle i strącił łokciem czajnik z wrzątkiem - oznajmił głosem pełnym irytacji.

John odstawił filiżankę.

- Przecież nie zrobił tego celowo - zauważył. Martin poczerwieniał ze złości, ale się nie odezwał.

- Co mu podałeś? - zainteresował się John.

- Dostał zastrzyk z petydyny i jałowy opatrunek na oparzenia. To powinno wystarczyć do czasu, kiedy Ben go zbada. Podłączyłem też kroplówkę.

- Bardzo dobrze. - Kolega z uznaniem pokiwał głową. - Lepiej jednak, żebyś poprosił Marka Simpsona, tego młodego chirurga, o zajęcie się chorym. Ben Kendricks będzie zmęczony.

- Masz rację - przyznał Martin i podszedł do telefonu. John wstał i przeciągnął się.

- Pora odpocząć - powiedział i wyszedł.

- Napiłbym się herbaty - oznajmił Martin zmęczonym głosem.

- Bądź tak dobry i zrób też dla Winnie - poprosiła Laura, widząc przygnębienie pielęgniarki.

Tymczasem zajęła się wypełnianiem dokumentacji. Zajęło jej to sporo czasu. Kiedy wreszcie kończyła porządkowanie danych, wszedł Ben.

- No, nareszcie mogę się napić herbaty - powiedział znużonym głosem, opadając na krzesło.

- Idź do gabinetu lekarskiego. Zaraz ci przyniosę, tylko powiem Sally, gdzie jesteśmy.

Był tak zmęczony, że nie chciała go zostawiać samego. Kiedy po chwili weszła do gabinetu, Ben leżał w fotelu z nogami wyciągniętymi do przodu. Powieki miał przymknięte, otworzył je jednak słysząc, że ktoś wchodzi.

- Jak się czuje pani Grover? - spytała, napełniając czajnik wodą.

- Na razie trudno powiedzieć - odparł z posepną miną. - Po otwarciu jamy brzusznej okazało się, że ma uszkodzone jelita. Zrobiłem resekcję, ale zawartość zdążyła się już wylać do otrzewnej. Oczyszciliśmy wszystko, ale chyba nie uda się uniknąć infekcji. - Wzruszył ramionami. - Straciła bardzo dużo krwi. Staramy się uzupełnić jej niedobory, podajemy też duże dawki antybiotyków. Odsysamy treść żołądka. Jak dotąd nie było w tym kału, więc trzymaj za nią kciuki.

Starła się nie okazywać zdziwienia, słysząc zwątpienie w jego głosie. Kiedy był dobrej myśli, mówił to wprost. Miała ochotę podejść i pocałować go na pocieszenie, powstrzymała się jednak. Zrobiła herbatę i podała mu kubek, a potem cukierniczkę.

- Nie słodzę - zaproponował.

Wiedziała o tym, ale chciała, by zrobił wyjątek.

- Podobno cukier koi nerwy - powiedziała cicho.

- Czyżbyś wyczuwała moje zdenerwowanie tylko dlatego, że nie mam pewności co do tej pacjentki? - spytał zdziwiony.

Miał włosy zwichrzone od czepka, który wkładał do operacji, i rozpiętą koszulę. Z kieszeni wystawał koniec krawatu. Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie; zawsze niemal przesadnie dbał o wygląd.

- Skądże znowu - zaprzeczyła nieco za szybko, gdyż nie była w stanie myśleć racjonalnie.

Pragnęła podejść i przyglądać jego potargane włosy, chciała go także pocałować.

- Poznajesz mnie od strony, której dotąd nie znałaś - stwierdził z odcieniem sarkazmu w głosie.

- Być może...

- Mówiłem ci już kiedyś, że nie zawsze jest tak, jak się wydaje - rzekł i pociągnął łyk herbaty.

Laura nachmurzyła się.

Zmęczenie połączone z niepokojem o pacjentkę, a także konieczność dotrzymania przysięgi Hipokratesa zrobiły swoje. Przestawał nad sobą panować. Przyglądał się jej z irytacją, wreszcie wybuchnął:

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że to nie moja wina, że David nie był leczony chemią? - Poderwał się z fotela i chwycił ją za ramiona, niemal krzycząc: - Czy pomyślałaś o tym chociaż raz?!

Z wrażenia zaniemówiła. Nagle odepchnął ją tak mocno, że lekko się zatoczyła.

- Nie, oczywiście nawet nie raczyłaś się nad tym zastanowić - rzucił ze złością i wybiegł z gabinetu.

Laura stała nieruchomo, pocierając ramiona i zastanawiając się, co chciał jej przez to powiedzieć.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Słowa Bena nie dawały jej spokoju. Nie mogła przestać o nich myśleć, analizowała je w domu i w pracy. Długo się nie widzieli od czasu tamtej rozmowy. Doszła do wniosku, że Ben jej unika i w gruncie rzeczy była z tego zadowolona. Dlaczego tak uparcie twierdził, że to nie z jego winy David nie poddał się chemioterapii? Przecież właśnie on opiekował się wtedy jej mężem.

Nie mogła spać w dzień, toteż nic dziwnego, że podczas dyżurów nocnych odczuwała ogromne zmęczenie. Siostra Connolly wyzdrowiała, więc Sally wróciła do swoich zwykłych zajęć. Mieszkały wciąż razem, chociaż Laura kupiła już mieszkanie.

- Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym tu nocowała, kiedy mam dyżur? - zapytała Sally po wizycie Laury u prawnika. - Wprawdzie chciałam się wprowadzić do Geoffreya, ale nie mogę spać, kiedy on przychodzi do domu na lunch.

- Oczywiście, możesz tu zostać - zgodziła się Laura.

Niechętnie wracała do pustego mieszkania. W obecności Sally przynajmniej nie będzie wciąż myślała o Benie. Żałowała, że rodzice wyjechali z Ledborough. Wspaniale byłoby pójść do ich domu i trochę wypocząć. Nie mogła jednak tego zrobić, bo willa została wynajęta.

Kiedy nie miała nocnego dyżuru, próbowała nadrobić zaległości w spaniu, ale nie udawało jej się to. W marzeniach widywała na przemian to Davida, to Bena, ale po przebudzeniu pragnęła znaleźć się w ramionach Bena, nie męża.

O co mu chodziło, gdy pytał, czy kiedykolwiek pomyślała o tym, że to nie on ponosi winę za śmierć Davida? Przecież chyba nie obwiniał jej?

Udręczona i przygnębiona chudła, aż w końcu stała się tak nerwowa, że irytował ją nawet najcichszy dźwięk.

- Powinnaś wypocząć - powiedziała Sally któregoś dnia. - Chyba dobrze by ci zrobiła wizyta u rodziców. Wyjedź na kilka dni.

- Na kilka dni do Kanady?

Nie mogła się przyznać, że nie chce wyjechać z Ledborough, bo z niecierpliwością czeka na każdą chwilę, by choć przelotnie zobaczyć Bena.

Spotkali się dopiero pod koniec tygodnia. Kończyła już pracę, kompletnie wyczerpana, gdy zobaczyła go, kiedy wychodził z sali intensywnej terapii. To niespodziewane spotkanie poruszyło ją tak bardzo, że serce zaczęło jej mocno bić i nagle zapragnęła się z nim kochać. Wszystkie marzenia, tak długo skrywane, gwałtownie ożyły. Dostrzegł pożądanie w jej oczach. Nie sposób było ukryć wzajemną fascynację. Chciała go zapytać o leczenie Davida, ale słowa uwięzły jej w gardle, stała więc w bezruchu, zapatrzona w jego ciemne oczy.

Ben celowo jej unikał. Wyszedł na korytarz dopiero wtedy, gdy był przekonany, że skończyła dyżur. To nieoczekiwane spotkanie poraziło go i zupełnie nie wiedział, jak się zachować.

- Wpadłem na chwilę do chorego - powiedział tonem usprawiedliwienia.

Z zakłopotania potarła ręką policzek. Wyglądała tak bezbrinnie, że z trudem się hamował, by jej nie przytulić.

- Co się stało? - spytała, nie mogąc opanować drżenia głosu.

- Martin zadzwonił do mnie i prosił, żebym przyjechał. Wymieniając imię kolegi, przyglądał się jej uważnie.

Dostrzegł rumieniec na jej twarzy, pomyślał więc, że coś ich na pewno łączy. Wprawdzie zdawał sobie sprawę, iż jego

związek z Laurą jest niemożliwy, jednak nie potrafił przestać za nią tęsknić.

- Bójka w knajpie. Faceta pchnięto na szybę tak mocno, że wybił ją i przeleciał na drugą stronę. Jest bardzo pokaleczony, niektóre rany są dość głębokie, nawet mięśnie zostały uszkodzone. Idę właśnie na salę operacyjną.

Przysunął się o krok, nie spuszczając z niej oczu. Czują, że pragną siebie w takim samym stopniu. Pochyliła się ku niemu i otworzyła lekko usta, ale w tej samej chwili za Benem otworzyły się drzwi i stanął w nich sanitariusz z wózkiem, na którym leżał potężnie zbudowany mężczyzna. Z tyłu pojawili się dwaj pielęgniarze. Nagle wszyscy przysunęli się do wózka, usiłując powstrzymać chorego, który jedną ręką gwałtownie zrzucił koc. Do drugiej podłączono kroplówkę, której przewód przywiązano paskiem do wózka. Mężczyzna miał na sobie tylko spodenki. Krew sączyła się przez opatrunki na tułowiu, rękach i nogach.

Rzuczał się, miotał przekleństwa i z pewnością uciekłby, gdyby pielęgniarze nie trzymali go mocno. Kiedy wyjeżdżali z sali na korytarz, spojrzął na Bena.

- Po co mnie przywiązaliście?! - krzyknął. Laura natychmiast wyczuła zapach alkoholu.

- Dostał dużą dawkę środka uspokajającego. Każdy inny, mniej silny facet leżałby po tym jak trusia - powiedział Ben. - Tu jest szpital - zwrócił się do pacjenta. - Awantura nie pomoże ani panu, ani nam. Jeśli natychmiast się pan nie uspokoi, umrze pan z upływu krwi. Zrozumiano? Pacjent spojrzął na lekarza wyzywająco.

- Po co zaraz tyle szumu - mruknął z irytacją. Laura sądziła, że Ben podąży z pielęgniarzami na salę operacyjną i zrobiła krok w tył, chcąc się wycofać, ale nagle poczuła jego rękę na ramieniu.

- Pani Grover czuje się lepiej - powiedział.

- Wiem - szepnęła, uwalniając ramię od uścisku, nie dlatego, że było jej nieprzyjemnie, lecz dlatego, że zbyt gorąco pragnęła jego dotyku.

- Muszę iść - rzekł znużonym głosem. - Czekają na mnie w sali operacyjnej.

Oddalił się, pozostawiając w jej sercu żal, szybko jednak opanowała się i zajęła pracą.

Na ogół podczas nocnych dyżurów było raniej zajęć, bo nie przywożono dzieci ze skaleczeniami, zwichnięciami i złamanymi kończynami. W takie przypadki obfitowały ferie i wakacje.

- Dobrze, że już jesteś - ucieszyła się Linda Connolly.

- Pomóż doktorowi Russellowi. - Uśmiechnęła się do Laury, która nie zauważyła Martina, schylonego pod biurkiem w poszukiwaniu pióra. - Przywieziono czternastoletniego chłopaka, Edwarda Ritchie. Spadł z drzewa. Leży pod trójką. Chyba złamał kości stopy. Na wszelki wypadek założyliśmy mu też gorset, bo trudno wykluczyć jakieś obrażenia kręgosłupa.

- Skąd Linda wie, że to złamanie kości stopy? - spytał Martin zrzędlwym tonem, wychodząc za Laurą z pokoju.

- Przecież nie jest lekarką.

- Za to jest doświadczoną pielęgniarzką - odpowiedziała już na korytarzu. - Po kilku latach pracy w szpitalu ma się pewną praktykę - oświadczyła dobitnie.

Martin poczerwieniał ze złości i nie odezwał się więcej. Przy łóżku młodego pacjenta siedział kolega.

- Tylko proszę nic nie mówić jego ojcu, dobrze? - zwrócił się do Laury. - Sprząb go na kwaśne jabłko.

- Zaczekaj na korytarzu - nakazała, uśmiechając się w sposób wskazujący, że przychylił się do jego prośby.

- No i co? - zagadnął Martin niezbyt przyjemnym tonem.  
- Jakim cudem tak się urządziłeś? O tej porze powinieneś być w domu.

Twarz chłopca stężała.

- Jest jeszcze widno. A pana zdaniem... jak do tego doszło? - rzucił wyniośle.

Będzie kiedyś całkiem przystojnym mężczyzną, przemknęło Laurze przez myśl. Żeby tylko nie miał takiej zarozumiałej miny i nie zgrywał się na twardziela. Dlaczego jest aż tak zawzięty? - myślała ze współczuciem.

- Zgubi cię kiedyś twój własny jęzor! - powiedział Martin złośliwie, patrząc na chłopaka z niechęcią.

Zdumienie na twarzy Edwarda ustąpiło miejsca rozbawieniu. Roześmiał się, ale natychmiast skrzywił z bólu.

- Spadłem z drzewa - wyjaśnił.

- I wylądowałeś na nogach, zamiast na głowie? - zauważył Martin cierpko. - Szkoda, bo może w ten sposób nabrałbyś trochę rozumu.

Laura po raz pierwszy spojrzała na Martina z podziwem. Nie ceniła go wysoko jako lekarza, w przeciwieństwie do Bena. Zdziwiły ją również jego pełne sarkazmu żarty. Martin nigdy dotąd nie wykazał się poczuciem humoru, choćby wisielczym.

- Cóż, Edward - kontynuował - zrobimy ci prześwietlenie, żeby się upewnić, czy nie masz innych złamań.

- Właściwie wszyscy nazywają mnie Eddie... Czy to dlatego założono mi tę szynę? Żebym się nie ruszał, bo mogę mieć inne złamania? Widziałem takie coś w telewizji.

- Owszem - przyznał Martin, zabierając się do badania stopy. - Wszystko wskazuje na to, że złamałeś kość piętową, a może również piszczelową. Trudno to stwierdzić, dopóki nie zbadam cię dokładnie, a będę to mógł zrobić dopiero po

obejrzeniu zdjęć rentgenowskich. One upewnią mnie, że nie uszkodziłeś kręgosłupa.

- Gdzie jest kość piszczelowa? - zapytał chłopak. Martin wyjaśnił mu, tym razem nie okazując zniecierpliwienia.

- Nie rozumiem, dlaczego podejrzewa pan złamanie kręgosłupa, skoro upadłem na stopy - dziwił się Eddie.

Laura też nie pojmowała toku myślenia Martina, tym chętniej więc słuchała jego wyjaśnień.

- Spadając na stopy, dość łatwo można wywołać falę udarową, która powoduje kompresowe uszkodzenie kręgosłupa, a w konsekwencji nawet uszkodzenie kości czaszki. Trzeba mu podać środek przeciwbólowy - zwrócił się do Laury.

Widać było, że chłopiec cierpi: miał bardzo bladą twarz i spocone czoło. Kurczowo zaciskał pięści, starał się jednak nie okazywać bólu.

- Nie martw się, wszystko pójdzie dobrze. - Martin uśmiechnął się dosyć ciepło, zaskakując ją tym, bo zwykle pacjentów traktował obcesowo. - Siostra zrobi ci za chwilę zastrzyk przeciwbólowy. Zaraz przyjadą twoi rodzice, dzwoniliśmy już do nich. Później zostaniesz przewieziony na radiologię.

Na wspomnienie rodziców twarz Eddiego spoważniała.

- Wątpię, czy ich znajdziecie - powiedział, odwracając głowę. - O tej porze chyba są w pubie.

- Ach, tak. - Martin spojrzał na Laurę.

- Czy masz jakieś rodzeństwo? - spytała, zastanawiając się jednocześnie, czy w takiej rodzinie dzieci mogą w ogóle liczyć na jakąkolwiek opiekę.

- Mam brata i siostrę. Są ode mnie młodszy.

- Kto się nimi opiekuje?

- Babcia.

Laura uspokoiła się nieco.

- Wobec tego ona może wyrazić zgodę na zastrzyk - postanowiła.

- Myślałem, że potrzebna jest tylko zgoda na operację - zdziwił się chłopak, - Pamiętam, jak mój brat miał wycinane migdałki. Wtedy też trzeba było podpisać... Czy ja mam mieć operację? - przestraszył się nagle.

- Nie, założymy po prostu wełnianą opaskę od palców po kolano i owiniemy bandażem elastycznym - wyjaśnił Martin.

- Zatrzymamy cię na noc w szpitalu. A co do twoich wątpliwości ... Nie wolno nam dawać zastrzyków pacjentom poniżej szesnastego roku życia bez zgody rodziców.

- Może i ja zostanę lekarzem? - zastanawiał się Eddie.

- Nie widzę przeszkód, ale najpierw musisz się dobrze uczyć, żeby pozdawać egzaminy.

- To nic trudnego - powiedział chłopiec, pełen wiary w siebie.

- Cóż, wobec tego wypada ci tylko życzyć, żebyś już więcej nie spadał z drzew.

Roześmiali się wszyscy.

Laura i Martin wrócili do pomieszczeń dla pielęgniarek i lekarzy.

- Babcia chłopca zawiadomiła już rodziców, lada chwila możemy się tu spodziewać jego ojca - poinformowała ich Linda Connolly.

- Ach, tak - odpowiedziała Laura niepewnie.

- O co chodzi?

- Kolega Eddiego bał się, że ojciec złoi mu skórę. Twarz pielęgniarki spąsowiała ze złości.

- Na pewno nie zrobi tego w szpitalu!

Martin zajął się przeglądaniem dokumentacji, a Laura poszła do poczekalni, by poprosić kolejnego pacjenta. Po chwili jednak wróciła, żeby skonsultować się z lekarzem co do chorego z podejrzeniem ropowicy palca.

- Pracuję na nocnej zmianie w drukarni „Ledborough Daily News” - wyjaśnił George Teller. - Z początku zlekceważyłem tę sprawę, bo palec był tylko zaczerwieniony, ale kiedy poszedłem do pracy, poczułem pulsujący ból, więc szef przysłał mnie tutaj.

Kciuk był zaczerwieniony i obrzękły, a z okolic paznokcia sączyła się ropa.

- Czy jest pan uczulony na penicylinę? - zapytał Martin.

Pacjent zaprzeczył.

- Przepiszę panu antybiotyk, a jutro proszę się zgłosić do swojego lekarza.

Kazał Laurze przygotować opatrunek z siarczanem magnezowym, który ściąga ropę, po czym wyszedł do gabinetu wypełnić dokumentację. Opatrzyła rękę i po chwili dołączyła do Martina.

- Linda przygotowała już antybiotyk - powiedział, wskazując na buteleczkę z tabletkami. - Przyszedł ojciec tego Eddiego. Jest teraz z nimi pielęgniarzka. Robi chłopcu zastrzyk.

- Czy były jakieś kłopoty? - spytała Laura z niepokojem.

- Nie. Wprawdzie tatuś był po dwóch głębszych, ale się nie awanturował. Obiecał tylko, że przemówi chłopakowi do rozumu. Przepraszał nawet za to, że spadł z drzewa i narobił nam bigosu.

- Sprawiasz wrażenie, jakbyś szczególnie interesował się tym dzieckiem - zauważyła, biorąc do ręki buteleczkę, na której przyklejona była kartka określająca dawkowanie leku.

- To prawda - przyznał z nagłym entuzjazmem. - Postanowiłem robić specjalizację z ortopedii.

Uśmiechnęła się serdecznie. Cieszyła się, że podjął taką decyzję. Nieraz zastanawiała się, czy przypadkiem nie wybrał niewłaściwego zawodu. Jak łatwo wyciąga się pochopne wnioski, pomyślała i nagle przypomniała sobie słowa Bena:



„Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że to nie moja wina...?”

Wspomnienie tamtej rozmowy znów zasiało niepokój w jej sercu. Nie ochłonęła jeszcze, gdy nagle do pokoju wszedł Ben. Nie domyśliła się, że przyszedł specjalnie po to, żeby ją zobaczyć. Miał nadzieję znaleźć jakiś sposób, by... Nagle uzmysłowił sobie, że Laura uśmiecha się do Martina i uznał, że stracił wszelkie szanse. Martin był niemal jej rówieśnikiem, nic więc dziwnego, że łatwiej się dogadują. A co ważniejsze, nie miał na sumieniu rzekomego zaniedbania w leczeniu jej męża. Muszę szybko wymyślić jakiś powód mojego przyjścia, myślał Ben gorączkowo.

Laura, widząc jego zasepioną twarz, pomyślała, że coś się stało na sali operacyjnej.

- Czy wszystko w porządku z pacjentem? - spytała zaniepokojona.

- Tak, zaszyliśmy go i...

Na szczęście weszła pielęgniarka, więc nie musiał już szukać pretekstu.

- Pan doktor czegoś zapomniał? - zainteresowała się.

- Czy jest tu gdzieś mój stetoskop? - spytał, chociaż dobrze wiedział, gdzie go zostawił.

- Nie sędzę - odpowiedziała pielęgniarka, zwracając się do Laury: - Może go gdzieś widziałaś?

- Nie zauważyłam, ale zaraz się rozejrzę, tylko najpierw dam lekarstwo panu Tellerowi.

Siostra skinęła głową. Wychodząc, Laura słyszała jeszcze, jak proponuje Benowi kawę, a ten odpowiada twierdząco.

Podła choremu buteleczkę i już miała się oddalić, kiedy nadszedł Martin.

- Napisałem zalecenia dla pańskiego lekarza, panie Teller - powiedział, wręczając pacjentowi kopertę. - Jutro proszę się do niego zgłosić. Przy okazji zmienią panu opatrunek.

- Dziękuję, doktorze.

Po obsłużeniu pacjenta Martin pomógł Laurze szukać stetoskopu Bena. Nie znaleźli go jednak.

- Czy zjesz ze mną jutro kolację? - zaproponował nagle.

- Dzięki za zaproszenie, ale zamierzam wszystkie wieczory wolne od pracy spędzać w łóżku. Muszę odespać dyżury.

Wprawdzie była lepiej nastawiona do Martina od czasu, kiedy zaczął poważniej traktować swój zawód, ale nie chciała go zachęcać do bliższej znajomości.

- Wobec tego wpadnę po ciebie w sobotę w przyszłym tygodniu.

Przez chwilę zastanawiała się, o co mu chodzi, wreszcie przypomniała sobie o balu.

- Dobrze. Będę czekała o wpół do dziewiątej. Wyszedł, a w chwilę później Laura wróciła do Bena.

- Przykro mi, ale nie znalazłam stetoskopu. Zostawiłeś go pewnie gdzie indziej.

- Możliwe.

Podziękował Lindzie za kawę i wyszedł razem z Laurą.

- Czy idziesz na bal? - zapytał, wchodząc za nią do małej salki dla chorych, w której miała zamiar zmienić prześcieradło po wizycie pana Tellera.

Potwierdziła.

W ciasnym pomieszczeniu miała wrażenie, że niemal się dotykają. Wysoka postać Bena zdawała się wypełniać całą przestrzeń. Zauważył ciepły blask w jej oczach, którego nie potrafiła ukryć.

- Ben - szepnęła, podchodząc do niego.

Nie wiedziała, kiedy ją objął i obsypał pocałunkami.

- Och, Ben - powtórzyła cicho, gdy wreszcie pozwolił jej odetchnąć.

- Lauro, kochana... - wypowiedział jej imię i głos mu się załamał.

Po chwili znów objął ją i zapomnieli o całym świecie. Kiedy się wreszcie opamiętali, z ustami tuż przy jego policzku wyznała:

- Nie potrafię przestać o tobie myśleć. Widzę cię we śnie i na jawie, cokolwiek robię. - W jej oczach zalśniły łzy.

- Musimy się spotkać - zaproponował, delikatnie wycierając jej mokłą twarz. - Nie wytrzymam już dłużej. Od czasu, kiedy pocałowałem cię pierwszy raz, męczę się jak potępiony.

- Wiem - szeptała, drżąc z podniecenia.

- Wobec tego kiedy?

- To mój ostami nocny dyżur w tym tygodniu.

- Wspaniale - westchnął uradowany. - Spotkamy się jutro wieczorem. - Dotknął delikatnie jej policzka, dostrzegając ciemne cienie pod oczami. - Do tego czasu postaraj się wypocząć. Jesteś bardzo zmęczona - powiedział łagodnie.

- Podkrążone oczy to twoja wina - stwierdziła, wodząc palcem po jego wargach. - Nie mogę spać, bo wciąż o tobie myślę.

- Pochlebiasz mi - szepnął.

Dotyk jej dłoni znów wzniecił w nim pożądanie. Zaczął całować ją bez opamiętania. Dopiero odgłos wózka na korytarzu przypomniał im, gdzie są.

- Do zobaczenia jutro wieczorem - powiedział, z żalem wypuszczając ją z objęć. - Przyjadę po ciebie o siódmej.

- Dlaczego tak późno? - spytała, udając obrażoną.

- Musisz się porządnie wyspać.

- W porządku, doktorze - uśmiechnęła się. - Zastosuję się do pana zaleceń.

Wyszedł, ale w progu odwrócił się i posłał jej ręką pocałunek, nie zważając na kręcący się po korytarzu personel.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Po miłym pożegnaniu z Benem ogarnęło ją takie podniecenie, że nie mogła zasnąć. Na szczęście Sally nocowała u Geoffreya, nie musiała się więc tłumaczyć przyjaciółce ze swego stanu.

Myśli o Benie nie dawały jej spokoju. Przewracała się z boku na bok, tuliła głowę do poduszki, sen jednak nie przychodził. Wyobrażenia podsuwała jej sceny miłosnych uniesień, rozpalające zmysły, a zarazem powodujące frustrację.

Wreszcie zrezygnowana odrzuciła kołdrę i poszła do łazienki wziąć chłodny prysznic w nadziei, że w ten sposób ukoi rozpalone ciało. Rzeczywiście, poczuła się lepiej. Potem weszła do kuchni zrobić sobie kawę i wróciła do sypialni, zastanawiając się, jak się ubrać na spotkanie z Benem. Najpierw jednak delikatnie umalowała twarz i wyszczotkowała włosy.

Wybrała czarną bawełnianą sukienkę z dość dużym dekoltem, prostą, ale szykowną, dobrą na każdą okazję, do tego zamszowe buty odpowiedniego koloru i elegancką torebkę. Stroju dopełniał biały żakiet. Biel korzystnie odbijała od czerni, ożywiając sylwetkę.

Początkowo chciała włożyć ciemną marynarkę, ale jedno spojrzenie w lustro przywołało na myśl żałobę po Davidzie. Tym razem jednak nie wspominała go z poczuciem winy, jak zawsze od czasu, gdy poznała Bena. Nareszcie poczuła się pewniej, jak gdyby zdjęto jej z barków wielki ciężar.

Zadzwoił dzwonek. Miała ochotę pobiec do drzwi, ale zdołała się opanować, chociaż z każdym krokiem jej podniecenie rosło.

Ben, w ciemnoszarym garniturze i białej koszuli, podkreślającej opaleniznę, wydawał się przystojniejszy niż

zwykle. W jego oczach wyczytała coś więcej niż zachwyt. Gdzieś w głębi czaiło się oczekiwanie.

- Może zostaniemy u ciebie? - spytał nieśmiało. - Mam wrażenie, że kolacja jako część rytuału...

- Uczyniłaby deser bardziej kuszącym? - dokończyła za niego.

- Ładnie to ujęłaś.

Przypatrywał się jej tak, że samo spojrzenie stawało się pieszczotą.

Postanowili jednak zjeść kolację w restauracji. Kiedy wsiedli do samochodu, celowo zaczęła pytać o pacjentów, sądząc, że rozmowa o pracy pomoże jej opanować zdenerwowanie.

- Czy Rose podjęła już decyzję o adopcji?

- Tak, to dzielna dziewczyna.

Skreślił w High Street i po chwili zatrzymali się przed czterogwiazdkowym hotelem.

- Postawiła tylko jeden warunek: powiedzą o niej dziecku, dopiero gdy podrośnie, i jeśli zechce, pozwolą mu ją widywać.

- Wyłączył silnik i odwrócił się do Laury. - Wolała to załatwić w ten sposób, żeby syn sam nie musiał jej szukać, jak wiele adoptowanych dzieci - wyjaśnił.

- To rozsądna kobieta - powiedziała Laura z uznaniem.

- Tak. Postanowiła również przeprowadzić się i zapisać na kurs dla pielęgniarek.

W restauracji hotelowej wskazano im stół. Wystrój wnętrza przypominał restaurację w parku, do której wybrali się razem jakiś czas temu, z tą różnicą, że w hotelu panował większy przepych. Podano im srebrne sztućce i kryształowe kieliszki, których nacięcia lśniły wszystkimi barwami tęczy, tworząc specyficzny nastrój.

Nie rozmawiali podczas jedzenia przystawki - pieczarek w sosie czosnkowym. Rozumieli się bez słów, spojrzenia

mówiły wszystko. Pod koniec dania śmiali się jednak rozbawieni, nie mogąc się nacieszyć swoim towarzystwem.

- Czy wiesz, że czosnek to afrodyzjak? - zapytał.

- Słyszałam o tym.

Z trudem wytrzymała jego wzrok.

- Tyle że... niepotrzebne nam żadne dodatkowe podniety, prawda? - zapytał spokojnie.

- Nie - szepnęła i wypła łyk wina. Spragnieni siebie, stracili nagle apetyt.

- Czyżby państwu nie smakowało? - zdziwił się kelner, zabierając ledwo tknięty stek z jarzynami.

- Ależ skąd, to znakomite - zapewnił Ben. - Tylko... nie powinniśmy zaczynać od pieczarek.

Jego oczy pojaśniały, gdy to mówił, a Laura roześmiała się serdecznie.

- Chyba zrezygnujemy z kawy, prawda? - zdecydował, chwytając jej dłoń.

- Oczywiście. Chodźmy - zgodziła się skwapliwie.

Podał jej zakiet i pomógł go włożyć, przytrzymując ręce na jej ramionach dłużej, niż było trzeba. Czuła, że drży. Odwróciła się i oczy ich znów się spotkały. Ben delikatnie pocałował ją w usta, a wtedy oparła policzek na jego dłoni, jakby ten drobny gest miał przedłużyć ulotną chwilę rozkoszy. Nie zważali na to, że w holu kręci się mnóstwo ludzi, nie liczyło się nic prócz ich uczuć.

W samochodzie zapiął jej pas, delikatnie muskając przy tym sukienkę.

Jechał nerwowo, z pośpiechem, irytując się, gdy trzeba było czekać na zmianę świateł na skrzyżowaniach. Nie śmiała zapytać, czy wracają do jej mieszkania. Skręcił jednak w Rosemary Gardens i podjechał pod swój dom.

- Pomyślałem, że może wolisz spędzić ten wieczór u mnie. Wiem, jak bardzo lubisz to miejsce - powiedział, pomagając jej wysiąść z samochodu.

Rzeczywiście, ogromnie się ucieszyła.

- Czuję się tak, jakbym wracała do bez troskich chwil dzieciństwa - przyznała, ścisnąwszy mu dłoń, kiedy zbliżyli się do drzwi.

- Chyba niewiele się tu zmieniło w ciągu tych lat - zauważył, prowadząc ją do środka.

- To prawda.

- Masz ochotę na drinka? - zapytał, zdejmując jej żakiet.

Nie była w stanie odpowiedzieć w obawie, że głos zdradzi jej uczucia. Doskonale wyczuwał jednak, o czym myśli. Powiesił żakiet i objął ją.

Wpatrywali się w siebie, jakby nie mogli się nasycić swoim widokiem. Nie dbała o nic, przepelniona radością, że nareszcie są razem, a długo skrywane pragnienia się spełniają.

Pocałunek stawał się coraz gorętszy. Reagowała z gwałtownością, o którą sama siebie nie podejrzewała. Drżeli oboje, kiedy na chwilę Ben odsunął się na taką odległość, by znów spojrzeć jej w oczy.

- Lauro - szepnął.

Nie odpowiedziała, bo żadne słowa nie mogły wyrazić tego, co czuła. Wziął ją na ręce i zaniósł na górę, do sypialni.

Dopiero dużo później, gdy leżeli spleceni po chwilach miłosnego uniesienia, rozejrzała się po pokoju, który doskonale oddawał osobowość Bena. Stały w nim masywne mahoniowe meble. Ściany pokrywały tapety w beżowym odcieniu, takim samym jak narzuta na łóżku. Dywan miał kolor granatowy, jak głębia oceanu. Cały wystrój wnętrza łączył dramatyzm z dziwnym spokojem. Tak właśnie Laura postrzegała usposobienie Bena.

Nie była przy nim onieśmielona, jak niegdyś w obecności Davida. Upajał ją najlżejszy dotyk, każdy gest zdawał się otwierać drzwi do odczuć, których istnienia nie podejrzewała.

David kochał się z nią zbyt delikatnie, ostrożnie, jakby się bał, że ją skrzywdzi. Nie miała odwagi wyznać mu, że pragnie czegoś więcej. Miłość Bena była nieokiełznana, taka, jakiej od dawna pragnęła. To on uwolnił ją od wszelkich zahamowań. Rozkwitała teraz jak kwiat, a każdy odchylający się płatek stanowił nowe objawienie,

- Nie myślałam, że może być aż tak wspaniale - szepnęła, przytulając się do niego, jakby w jego ramionach szukała ratunku, bo nagle nie wiadomo dlaczego uznała, że zdradza męża.

- Wiem, że byłaś bardzo szczęśliwa z Davidem - powiedział - ale teraz dojrzałaś. - Uśmiechnął się. - I chyba jesteś spragniona seksu...

Rozbawiona, dała mu kuksańca w bok.

Obudził ich świergot ptaków za oknem. Poszli razem pod prysznic, a kiedy namydlali swoje ciała, uznali, że muszą następną godzinę spędzić w łóżku.

W końcu zmęczeni zasnęli. Wstali dopiero wtedy, gdy zadzwonił budzik.

- Wolałbym mieć nocny dyżur - jęknął Ben, podnosząc się z niechęcią.

- Szkoda, że musisz już iść - przyznała, obejmując go i przyciągając z powrotem.

- Kusicielka. - Pochylił się, by ją pocałować.

Ujęła dłońmi jego twarz i całowała go zachłannie. Nie miała ochoty się z nim rozstawać.

- Nie powinnam cię zatrzymywać. - Oczy lśniły jej miłością, ale puściła go wreszcie. - Zaczekam tu na ciebie.

- Cudownie.



Poszedł wziąć prysznic, a Laura wtuliła twarz w jego poduszkę. Kiedy wrócił do sypialni, nie spuszczała z niego oczu, śledząc każdy ruch, gdy się ubierał. Pobudzał jej zmysły, napełniał dziwnym wzruszeniem.

- Zrobię ci śniadanie - zreflektowała się nagle i wstała. Popchnął ją delikatnie na posłanie.

- Nie dzisiaj - zaprotestował, przyglądając się jej z troską.  
- Musisz wypocząć. Przyniosę ci śniadanie do łóżka.

- Czy będziesz to robił codziennie? - zapytała z czarującym uśmiechem.

- Omówimy to później - powiedział dziwnie poważnym tonem, ale była tak uszczęśliwiona, że nie zwróciła na to uwagi.

Kiedy wyszedł, położyła się i rozpamiętywała chwile spędzone w jego ramionach. Doznała spełnienia w miłości, upajała się szczęściem.

Zasypiała już prawie, kiedy wrócił z jajecznicą na bekonie, grzanką, marmoladą i herbatą. Zwykle rano poprzestawała na kawie i kromce chleba, ale nie chcąc go urazić, nie wspomniała o tym.

- Pachnie cudownie - pochwaliła, stawiając tacę na kołdrze.

- Masz zjeść wszystko - nakazał, całując ją. - Musisz się wzmocnić.

- Postaram się - odpowiedziała z uwodzicielskim uśmiechem.

Odstawił tacę na podłogę.

- Ty bezwstydna istoto - zgromił ją ze śmiechem, porwał w ramiona i znowu pocałował. - Przez ciebie spóźnię się do pracy - szepnął.

Położył tacę z powrotem na łóżku i wyszedł. Zaskoczona własnym apetytem, zjadła wszystko, nawet grzankę z

marmoladą. Potem zasnęła i obudziła się dopiero o czwartej po południu.

Pod prysznicem śpiewała radośnie. Czuła się wspaniale, jak nigdy dotąd. Była pogodna, pełna ufności i wiary w przyszłość.

Elegancki strój, który miała na sobie poprzedniego wieczora, nie nadawał się do noszenia na co dzień, postanowiła więc wrócić do siebie i się przebrać.

Najpierw jednak pozmywała naczynia i posprzątała mieszkanie Bena. Odkurzając dywan, zastanawiała się, czy jej się oświadczy. Czyżby to właśnie miał na myśli, kiedy obiecał, że pomówią o czymś później?

Na myśl, że zamieszkałaby z nim w domu, z którym wiązały się jej najprzyjemniejsze wspomnienia, serce wezbrało radością. Szybko jednak przywołała się do porządku. Przecież nawet nie wyznali sobie miłości, poza tym Ben nie był właścicielem tego budynku. Dostyc fantazjowania, zgromiła się w duchu.

W drodze powrotnej zrobiła zakupy. Miała ochotę przygotować coś specjalnego na wspólną kolację: chleb czosnkowy z sałatą, gulasz z ryżem i kukurydzą, marchewkę z groszkiem, a na deser - sałatkę z brzoskwiń, gruszek, truskawek, ananasa i moreli z bitą śmietaną, potem ciastka i kawę.

Obładowana zakupami wstąpiła jeszcze po wino, żeby kolacja wypadła bardziej uroczyście.

Po powrocie do domu uznała, że łatwiej jej będzie przygotować posiłek we własnej kuchni, zabrała się więc do pracy. Zajęło jej to dwie godziny. W trakcie gotowania pomyślała, że zadzwoni do Bena i zaprosi go do siebie, unikając w ten sposób podgrzewania potraw.

Przebierała się, kiedy usłyszała dzwonek u drzwi. W progu stał Ben.

- Co ty tu robisz?! - spytał oburzony.

- Chciałam tylko zmienić strój - odpowiedziała równie ostrym tonem, zła, że błędnie zinterpretował jej nagłe zniknięcie. - Po drodze zrobiłam zakupy, potem ugotowałam kolację i miałam właśnie dzwonić do ciebie, żeby cię zaprosić... - Przerwała, bo łzy ścisnęły jej gardło.

- Lauro, kochanie, przepraszam. - Wyciągnął ręce i przygarnął ją. - Przestraszyłem się, kiedy po powrocie z pracy nie zastałem cię w domu.

Czuła, jak mocno bije mu serce.

- Bałem się, że może żałujesz tej nocy.

Spojrzała mu prosto w oczy i rzeczywiście dostrzegła w nich lęk. On mnie kocha, przemknęło jej przez myśl i twarz pojaśniała jej radością.

- Kocham cię, Ben - szepnęła, tuląc się do niego. - Nigdy cię nie opuszczę.

Wypowiedziała te słowa drżącym głosem, niepewna, czy powinna otwierać przed nim serce.

- Ja też cię kocham, Lauro.

Zapomnieli o kolacji, opanowani szalem miłości. Nie pamiętała później, jak znaleźli się w jej sypialni. Kochali się tak, jakby się nie mogli sobą nacieszyć, jakby się obawiali, że mogą się nawzajem utracić.

Zachowywali się jak kochankowie, którzy cudem ocaleli z tonącego statku. Szeptali czułe słowa, pieścili się tkliwie, a kiedy wreszcie ogarnęło ich zmęczenie, Ben długo nie wypuszczał jej z objęć.

Dopiero późnym wieczorem, kiedy zaczął im doskwierać głód, poszli do kuchni na kolację.

- Nie przypuszczałem, że tak wspaniale gotujesz - powiedział Ben z uznaniem, pochłaniając ostatni kęs.

Czyżby zapomniał wieczory, na które zapraszaliśmy go z Davidem? - zastanawiała się. Myślała jednak o przeszłości bez

poczucia winy i żalu. Wprawdzie uzmysłowiła sobie, że nie kochała męża tak żarliwie, ale życie biegło naprzód i nie chciała rozpamiętywać dawnego związku.

Po posiłku usiedli na kanapie, objęci, zapatrzeni w siebie.

- Więc kiedy wyjdiesz za mnie? - spytał znienacka.

- Jak najszybciej - odpowiedziała szczerze, ze wzruszeniem patrząc mu w oczy.

Wyczytała w nich radość.

- Przysługuje mi krótki urlop, ale nie mogę go wykorzystać wcześniej niż za miesiąc - myślał głośno. - Mam długą listę pacjentów, do tego czasu wszystkich muszę przyjąć. Obawiam się, kochanie, że chorzy mają pierwszeństwo.

- Następnym razem zakocham się w dyrektorze banku - zażartowała.

- Nie przewiduję następnego razu. Pobieramy się na całe życie.

Pocałowała go, żeby nie dostrzegł smutku w jej oczach, bo nagle przypomniała sobie ślub z Davidem. Wtedy też byli przekonani, że łączą się na zawsze. Ale Bena nie dało się oszukać.

- Będziemy żyli szczęśliwie, z gromadką dzieci, do późnej starości - powiedział stanowczo. - A potem odejdziemy razem, spadniemy z drzewa jak dwa zwiędłe liście...

- Nie podejrzewałam, że masz talent poetycki. - Roześmiała się, żeby poprawić nastrój.

- Wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz. Mam nadzieję, że się nie rozczarujesz, kiedy je odkryjesz.

- To samo mogę powiedzieć o sobie. Uśmiechnął się w zamyśleniu, patrząc na nią z miłością.

- Nie pozwolę ci odejść - powiedział, tuląc ją mocno.

Nagle uświadomiła sobie, że tak gorące uczucia zobowiązują do szczególnej lojalności. David nie żądał

niczego w zamian za to, co jej ofiarował. Miłość Bena wymagała wszystkiego: jej ciała i duszy, ale z zapalem oddawała mu się cała, bo zasłużył na to.

Nie ustalili konkretnej daty ślubu. Nie było to tak istotne, chcieli najpierw nacieszyć się sobą, poznać się lepiej. Nazajutrz podczas śniadania zaskoczył ją, mówiąc:

- Chociaż marzę, żebyśmy jak najszybciej zamieszkali razem, jest to niemożliwe, dopóki się nie pobierzemy. - Wyciągnął ku niej rękę, przewracając słoik z dżemem. - Pracujemy razem, więc natychmiast byłyby plotki. Domyślam się, że chętnie wprowadziłabyś się do domu przy Rosemary Gardens?

- Tak. Uwielbiam go.

- Żałuję, że nie idziemy razem na bal, ale zaprosiłem już Beę. - Pochylił się nad stołem, żeby ją pocałować. - Nie szkodzi, i tak będziemy tańczyć razem, ile się da.

- Nie spodoba się to twojej partnerce.

- Trudno, musi się z tym pogodzić. A za rok już razem pojedziemy na ten bal.

- Oczywiście - przytaknęła, ale po wyjściu Bena tknęło ją złe przeczucie. Wzruszyła z irytacją ramionami i poszła zmywać naczynia.

W ciągu kilku kolejnych dni rzadko się widywali. Laura zaczynała dyżury po południu i wracała do domu nie wcześniej niż o wpół do jedenastej, a Ben przeprowadził kilka poważnych operacji, byli więc przemęczeni.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym miał się odbyć bal. Laura włożyła długą suknię, którą kupiła specjalnie na tę okazję, bardzo szykowną, czarną, z niewielkim dekoltem i bufiastymi rękawami, dopasowaną w talii. Gdzieniedzie ozdabiały ją rozetki z tego samego materiału.

Kiedy ją przymierzała w sklepie, nie miała wątpliwości, że spodoba się Benowi, jednak bezpośrednio przed balem opadły

ją wątpliwości. Dopiero stojąc przed lustrem, uśmiechnęła się zadowolona: owal twarzy odbijał od czerni delikatnym, jasnym odcieniem, włosy miała zaczesane do tyłu, a specjalnie zakręcone pasemka spadały na boki, nadając jej twarzy mniej poważny wygląd. Uszy zdobiły misterne srebrne kolczyki.

Włożyła aksamitną pelerynkę, do której pasowały czarne, zamszowe pantofle i mała torebka tego samego koloru. Lekkie muśnięcie szminką wystarczyło za cały makijaż. Róż był niepotrzebny, bo sama świadomość, że jest kochana, napawała ją radością i przydawała policzkom rumieńców.

Szczery podziw Martina i okrzyk zachwytu, jakim ją powitał, rozwiały jej wszelkie obawy. Skoro on wyraził swą aprobatę, chyba spodoba się również Benowi? Na myśl o tym uśmiechnęła się promiennie.

Nagle Martin objął ją mocno i zaczął całować. Próbowwała go odepchnąć, ale wzmocnił uścisk, więc stanęła mu na nogę, by się uwolnić. Syknął z bólu i odskoczył urażony.

- Nie zgodziłam się na pocałunki. Idę z tobą tylko na bal - rzuciła ze złością.

- Sądziłem, że epoka wiktoriańska dawno minęła. - Martin rozcierał obolałą stopę. - Zresztą przywitałaś mnie tak czarującym uśmiechem, że wyglądało to jak zaproszenie.

Rzeczywiście nie postąpiła zbyt rozważnie, ale skąd mogła przypuszczać, że potraktuje jej uśmiech jako zachętę?

- W porządku, chodźmy już - powiedziała, biorąc torebkę i pelerynę.

Powinna poprawić makijaż, ale wołała nie pozostawać z Martinem sam na sam.

Przyjechał po nią małym samochodem, nic więc dziwnego, że pogmiotła suknię. Z obawą myślała o reszcie wieczoru. Czy przypadkiem nie jest to zły znak?

- Jak się czuje twój pacjent ze złamaną nogą? - zagadnęła, by uniknąć bardziej osobistych tematów.

- Dobrze. Ze zdjęć wynika, że było to jedyne obrażenie, jakiego doznał. Czaszka i kręgosłup pozostały nie uszkodzone.  
- Przerwał, wjeżdżając na parking. - Przy okazji powiedziałem ojcu Eddiego, że jego syn chciałby zostać lekarzem. Pan Ritchie bardzo się z tego ucieszył. Mam wrażenie, że dzięki temu ich stosunki się poprawią.

- Wspaniale. Oby tylko chłopak wytrwał przy swoim zamiarze.

Przyjechali do hotelu niemal równocześnie z Benem i jego partnerką. Spotkali się w holu. Na widok kreacji Bei Laura straciła humor. Była to piękna, dopasowana jedwabna sukienka, błękitna jak oczy dziewczyny. Bea wyglądała w niej zgrabnie, choć może nieco zbyt elegancko. Laura poczuła się przy niej jak dziecko.

Nie widziała Bena od kilku dni. Bez niego czuła bezgraniczną pustkę. Nic dziwnego, że na jego widok serce zabiło jej radośnie. Był taki przystojny, garnitur leżał na nim wspaniale. Z wrażenia zapomniała się, pochyliła ku niemu, a on ujął ją pod rękę. Ich partnerzy nie liczyli się, istnieli tylko oni.

- Dobry wieczór, Lauro - odezwał się ciepłym, kojącym głosem, patrząc na nią z uwielbieniem. - Wspaniale wyglądasz.

Niestety, zauważył też rozmazaną szminkę i bezbłędnie odgadł, co się stało. Uśmiech zniknął z jego twarzy, oczy pociemniały. Przecież gdyby go kochała, nie całowałaby się z innym.

Laura nie dostrzegła jednak zmiany w jego zachowaniu i wpatrywała się w niego jak zauroczona. Któż by pamiętał o szmince, kiedy miłość przepelnia serce?

- Chodź już - nalegał Martin, zły, gdyż wyczuł, co się dzieje. - Jeśli się nie pospieszymy, najlepsze stoliki będą zajęte.

- Masz absolutną rację - zgodził się Ben.

Ujął obydwie panie pod ręce i poprowadził energicznym krokiem, wymijając rywala, który stał przez chwilę oniemiały, zanim podążył za nimi na salę.

Laura z niechęcią puściła rękę Bena. Nawet przelotny dotyk rozpalał jej zmysły, przypominał słodkie chwile miłości. Marzyła, by ją objął i pocałował. Słyszając dźwięki orkiestry, nie mogła się doczekać, kiedy poprosi ją do tańca.

Joe Carter, pediatra siedzący w towarzystwie żony, Anabelle, przy dużym stoliku, skinął na nich.

- Chodźcie do nas - zaprosił.

Ben posadził panie, po czym sam usiadł między Beą a Martinem, tak że Laura pozostała obok Martina. Zdziwiło ją to. Była jeszcze bardziej zaskoczona, kiedy wyciągnął dłoń do Bei i zaprosił ją do tańca. Spodziewała się, że przynajmniej na początku zatańczą razem!

- Na twoim miejscu przestałbym wzdychać do tego faceta - szepnęła Martin. - Przecież widzisz, że jest zainteresowany Beą.

Czy to prawda? - zastanawiała się gorączkowo, ale szybko odrzuciła tę myśl. Fakt, że zaprosił Beę do tańca, nic nie oznacza.

- Czego się napijesz? - zapytał Martin.

- Poproszę o dżin z tonikiem.

Zaskoczony, zmarszczył brwi. Laura nigdy nie piła dżinu. Poszedł jednak po drinka, a wtedy Joe Carter zaprosił ją do tańca. Ucieszyła się. Przynajmniej na parkiecie będzie bliżej Bena.

- Wiesz, człowiek dopiero wtedy czuje, że się starzeje, kiedy wokół siebie widzi dużo młodych ludzi - powiedział Joe.



Nie znała go dobrze, ponieważ rzadko pracowali razem. Uchodził za świetnego specjalistę, ale w stosunku do małych pacjentów wydawał się dość oschły.

- Czy masz dzieci? - spytała bez specjalnego zainteresowania, by podtrzymać rozmowę.

- Dwudziestodwuletnią córkę, mężatkę, i... - zawahał się - dziewiętnastoletniego syna.

Kiedy to mówił, zauważyła w jego oczach ból. Starał się jednak ukryć swe uczucia. Coś w tej twarzy przypominało jej Davida. Czyżby jego syn nie żył? Nie śmiała o to zapytać.

Wzbudzała zaufanie ludzi, może dlatego Joe kontynuował:

- Rzucił studia medyczne i... zniknął.

Nagle przypomniała sobie Roberta Wilsona. Czy to możliwe, że jest synem Joe'ego? Postanowiła zapytać o to Michelle.

- Może jeszcze wróci - pocieszała ojca.

Wolała nie wspominać o swoich przypuszczeniach na wypadek, gdyby się okazało, że nie ma racji i Robert jest kimś zupełnie innym.

- Nie sądzę - powiedział niby zdawkowo, ale zrozumiała, że w gruncie rzeczy bardzo przeżywał ucieczkę syna, choć ukrywał prawdziwe uczucia pod maską obojętności.

Może chłód wobec małych pacjentów właśnie stąd się bierze? - zastanawiała się w duchu.

- Wszyscy mamy problemy - powiedziała. Wyczuł w jej słowach szczere współczucie, zachęcające do dalszych zwierzeń.

- Nie potrafię okazywać uczuć swoim dzieciom - wyznał.

- Z natury jestem perfekcjonistą, zbyt krytycznie oceniam innych i z reguły sądzę, że mam rację.

- Cóż... - Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Dzięki, że mnie wysłuchałaś - uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Powinieneś robić to częściej.

- Robić co?

- Uśmiechać się!

Roześmiał się radośnie i natychmiast wydał się o kilka lat młodszy. Odprowadził ją do stolika i podziękował za taniec.

Martin podsunął jej drinka, którego wypiała niemal jednym haustem. Otrząsnęła się z obrzydzeniem. W gruncie rzeczy nie lubiła dżinu.

Miała nadzieję, że Ben wreszcie poprosi ją na parkiet. Wrócił właśnie z Beą do stolika, ale poszedł po coś do picia.

- Zatańczmy - zaproponował Martin.

Nie mogła odmówić, przecież przyszła z nim na ten bal. Martin objął ją mocno. Za mocno, pomyślała. Czuła na twarzy jego oddech, przemieszany z zapachem alkoholu. Chciała się odsunąć, lecz przytulił ją do siebie mocniej.

- Posłuchaj - powiedziała ostro, nie mając zamiaru walczyć z nim przez cały wieczór. - Jesteś moim partnerem, a nie kochankiem.

- W każdej chwili mogę stać się tym drugim - oświadczył beczelnie, całując ją w policzek.

Alkohol uderzył mu do głowy, pomyślała poirytowana i odsunęła twarz.

- Czy mogę wam przerwać? - usłyszała głos z tyłu. Ben zajmował wyższą pozycję w szpitalu, więc Martin

nie chciał z nim zadzierać, chociaż bardzo chętnie by mu się sprzeciwił.

- Tymczasem, kochanie - powiedział do Laury, patrząc na nią wymownie.

Ben objął ją w talii tak mocno, że aż syknęła z bólu.

- Uważaj, to boli!

- Przepraszam. - Nieco zwolnił uścisk.

Spojrzała mu w oczy, ciesząc się, że wreszcie są razem, ale uśmiech zastygł na jej wargach, gdy dostrzegła bolesny grymas na twarzy Bena.

- O co chodzi? Czy coś się stało? - zapytała.

Nie odpowiedział. Zaloty Martina zupełnie wyprowadziły go z równowagi.

- A o cóż mogłoby mi chodzić?

- Nie wiem, ale tak jakoś groźnie patrzysz. Przestał tańczyć i pociągnął ją przez salę w kierunku oszklonych drzwi, wychodzących na park hotelowy. W świetle latarni dostrzegła, że Ben kipi złością.

- Mówiłaś, że mnie kochasz - powiedział przez zęby. Mocno trzymał jej ręce i z trudem się hamował, by nie potrząsnąć nią z całej siły.

- Bo kocham - odrzekła urażonym tonem.

- I kochając mnie całujesz się z innym i pozwalasz mu się przytulać?!

Dopiekł jej do żywego.

- Jesteś zawsze przekonany o swojej racji, prawda? - syknęła z furją. - Tak samo upierałeś się przy leczeniu Davida, a myliłeś się! Mogłeś mu przedłużyć życie, ale nie zrobiłeś tego.

Starał się unikać tego tematu, lecz uporczywe podejrzenia Laury wstrząsnęły nim.

- To była jego decyzja! - wybuchnął. - Nie zgodził się na chemioterapię. Nie pozwolił, żebym ją zastosował! - Ben niemal krzyczał. - Chciał cię uchronić od cierpienia. Zdawał sobie sprawę, że chemioterapia przyniesie mu ulgę tylko na pewien czas, bo to był złośliwy, nieuleczalny nowotwór. Nie chciał ci dawać nadziei, a tym bardziej przysparzać cierpień. Kochał cię tak mocno, że nie mógł do tego dopuścić!

Natychmiast pożałował swych słów. Cofnąłby je, gdyby to było możliwe. Żałował ich, bo złamał tajemnicę lekarską, ale

jednocześnie cieszył się, że wreszcie zrzucił z siebie ciężar, który dźwigał od śmierci przyjaciela. Poza tym Laura powinna znać prawdę.

Stała z otwartymi ustami, jak skamieniała. Odniosła wrażenie, że się przesłyszała. David skrócił sobie życie ze względu na nią! To niemożliwe!

- Nie wierzę ci! - krzyknęła ze złością. - Nikt nie byłby zdolny do takiego poświęcenia!

Patrzył na nią z powagą. Złość minęła, pozostało współczucie.

- Ani ja, ani ty nie postąpilibyśmy w ten sposób, ale on...

Litość, która odbiła się w jego oczach i ciepły serdeczny ton, gdy wspominał jej męża, niemal ją przekonały. David był zdolny do ponoszenia takich ofiar, nawet do poświęcenia życia dla tej, którą kochał.

- Och, nie! - zawołała zrozpaczona.

Cofnęła się o krok, wyciągając przed siebie rękę, jakby chciała odrzucić to, co powiedział. Nie, nie może przyjąć takiego poświęcenia. Jak będzie dalej żyła ze świadomością, że zdobył się dla niej na tak heroiczny czyn? Nie, to wszystko nieprawda.

Nagle opanowała ją złość.

- Nie wiem, dlaczego to robisz - rzuciła lodowatym tonem. - Jesteś impulsywnym człowiekiem, po którym można się spodziewać różnych rzeczy, ale żeby wymyślić coś takiego, żeby mnie ukarać za domniemaną zdradę?! Tego już za wiele, nie chcę cię znać!

Z dumą uniosła brzeg sukni i wyminęła go. Pobiegła do recepcji i poprosiła o wezwanie taksówki.

- Właśnie przyjechał jakiś gość hotelowy, zapewne samochód nie zdążył jeszcze odjechać - powiedziała recepcjonistka.

Wybiegła przed budynek. Kierowca już ruszał, pomachała jednak, więc się zatrzymał. Jak to dobrze, że nie musi czekać, bo nie potrafiłaby spojrzeć komukolwiek w twarz po tym, co zaszło.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Laura była przekonana, że zazdrość podyktowała Benowi to wyznanie. Nazajutrz po balu, w niedzielę, nie odbierała telefonów. W południe przyszedł Martin. Długo czekał pod drzwiami. Otworzyła je dopiero wtedy, gdy go poznała po głosie. Uznała, że winna jest mu wyjaśnienie. Opuściła go przecież bez słowa!

- Dzwoniłem do ciebie, ale nikt nie odpowiadał - powiedział zaniepokojony.

- Źle się czułam - rzuciła z irytacją.

Zreflektowała się jednak, bo przecież to nie przez niego spędziła bezsenłą noc.

- Napijesz się kawy? - zaproponowała już uprzejmiejszym tonem.

- Chętnie - odparł, wchodząc za nią do kuchni. - Gdzie się podziałas wczoraj wieczorem? - zapytał.

- Nie czułam się dobrze.

- Powinnaś była mi o tym powiedzieć, odwiózłbym cię do domu.

W jego głosie zabrzmiała nuta troskliwości i nagle Laura zrozumiała, jak źle go traktuje. Był naprawdę sympatyczny; tym bardziej nie miała prawa igrać z nim, wiedząc, że ich znajomość nie przerodzi się w poważniejszy związek.

- Przepraszam - bąknęła, podając mu filiżankę i cukierniczkę.

Chciała dodać, że wyszła wcześniej, żeby mu nie psuć zabawy. Nagle uświadomiła sobie, że powinna wreszcie przestać go zwodzić.

- Odbyłam poważną rozmowę, byłam zmartwiona - tłumaczyła, sięgając po cukier.

Zwykle używała słodziku, ale tym razem postanowiła się wzmocnić.

- To przez Kendricksa - domyślił się. - Od razu wiedziałem.

Wyczuwając współczucie w jego głosie, omal nie zdradziła mu, co powiedział Ben. Straciłby wiarygodność jako lekarz, gdyby się okazało, że nie dotrzymał przysięgi Hipokratesa. Zdecydowała, że do tego nie dopuści, mimo mocnego postanowienia, że przestanie się z nim spotykać poza pracą.

- Masz rację - przyznała.

- Nie martw się. Pamiętaj, że mimo wszystko jestem twoim przyjacielem.

Zdobyła się na uśmiech. Zorientowała się, że Martin traktuje ją jak koleżankę, a nie jak dziewczynę, w której jest zakochany. Z wdzięczności pochyliła się i lekko pocałowała go w usta.

- Nareszcie poprawił ci się humor - zauważył z zadowoleniem, ale nie wstał, by ją objąć.

- Co się działo po moim wyjściu? - zapytała.

- Ben wrócił do stolika i poprosił, żebym odwiózł Beę. Kiedy się zgodziłem, pojechał do domu.

- Ach, tak? - Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Martin zaczerwienił się.

- Oboje zostaliśmy porzuceni... - zaczął bez pretensji w głosie - i chyba to nas zbliżyło. Nagle okazało się, że mamy wiele wspólnego. Przeżyliśmy wspaniały wieczór - zakończył z uśmiechem.

- Cieszę się.

Powiedziała to szczerze. Potrzebne jej było męskie ramię, żeby móc się wypłakać, ale nie chciała angażować w swoje problemy Martina.

- Więc nie jesteś na mnie zła?

- Oczywiście, że nie. Byłeś we mnie trochę zadurzony, ale, sam przyznasz, trudno to nazwać miłością. Sądziłam, że Bea kocha się w Kendricksie.

- Nie, lubi go, a on traktuje ją tylko jak koleżankę.

- Rozumiem. Odniosłam jednak wrażenie, że ona nie żywi do mnie sympatii.

- Z innych powodów niż sądzisz. Uważa po prostu, że czasami za szybko reagujesz. Opowiedziała mi, jak pochopnie oceniłaś matkę Timmy'ego, kiedy zobaczyłaś siniaki... Przykro mi z powodu Bena - powiedział, wstając od stołu. - Lubisz go, prawda?

- . Tak, ale... - Bezradnie wzruszyła ramionami.

- Czuję się podle, teraz, kiedy wiesz o mnie i Bei... Z początku chyba chciałem ci zrobić na złość za to, że źle mnie potraktowałaś.

Laura zarumieniła się. Miał znacznie lepszą intuicję, niż sądziła.

- Przepraszam. Mam nadzieję, że będziesz z nią szczęśliwy.

Odprowadziła go do drzwi i pocałowała na pożegnanie w policzek. Ledwo zdążyła je zamknąć, zadzwonił telefon. Nie podniosła słuchawki. Ponieważ dzwonił dłuższą chwilę, poirytowana wyciągnęła wtyczkę z gniazdka, chwyciła sweter i torebkę i wyszła z mieszkania.

Padał deszcz, ale nie miała ochoty wracać po parasolkę. Postanowiła pójść do galerii sztuki, jednego z nielicznych miejsc, gdzie można się było schronić w niedzielę.

Przeglądając albumy i pocztówki w sklepiku przy wejściu, natknęła się na Michelle Pearson.

- Dobrze, że cię widzę - rzuciła na powitanie, gdyż nagle przypomniała sobie rozmowę z Joe Carterem. - Robert nie nazywa się Wilson, lecz Carter - powiedziała, żeby wy badać sytuację.



- Skąd o tym wiesz? - zdziwiła się Michelle, potwierdzając przypuszczenia Laury.

- Tańczyłam z jego ojcem i z tego, co mówił o synu, nietrudno się było domyślić.

- Mam nadzieję, że nie powiedziałaś mu o swoich podejrzeniach?

- Nie, wolałam najpierw zapytać ciebie.

- Chłopak nie chce go widzieć. - Siostra Pearson westchnęła ciężko.

- Czy uważasz, że to słuszna decyzja?

- On tak postanowił, ja się nie wtrącam - odpowiedziała, zbierając się do wyjścia.

- Carter bardzo się martwi - zakomunikowała Laura, zatrzymując koleżankę.

- Skąd wiesz? Robert twierdzi, że ojca interesuje tylko to, że porzucił medycynę, a tak naprawdę wcale o niego nie dba.

Michelle mówiła z takim żalem i przejęciem, że Laura nabrała pewności, iż tamta jest zakochana w Robercie.

- Mylicie się oboje. Ojcu bardzo na nim zależy, tylko nie umie tego okazać. Przecież nie wszyscy są wylewni i otwarci.

Nagle pomyślała o Davidzie. Sądziła, że dobrze go zna. Czy to możliwe, że poświęcił resztę życia dla niej? Miała ochotę się rozplakać, nie wypadało jej jednak robić tego tutaj.

- A co na to jego matka? - spytała cicho.

- Chętnie by się z nią skontaktował, ale boi się, że powie o tym ojcu. Chciałabyś zapewne, żebym go namówiła na telefon do rodziców? - domyśliła się Michelle.

- Proszę cię, zrób to.

- Mogę spróbować, chociaż nie gwarantuję, że mi się to uda.

Pod koniec tygodnia Joe Carter odszukał Laurę na oddziale.

- Wiem już, że tobie zawdzięczam odzyskanie Roberta

- powiedział z pogodnym uśmiechem. - Serdeczne dzięki. On chce poślubić tę pielęgniarkę, która się nim opiekowała, a potem zacząć studia w akademii sztuk pięknych. - Spojrzał na nią nieco zakłopotany. - Marzył o tym od dawna. Próbowałem mu to wyperswadować, bo kariera artysty jest dość niepewna, ale teraz rozumiem, że dzieciom nie wolno niczego narzucać. Może będzie miał szczęście. W każdym razie pomogę mu. Jeszcze raz dziękuję.

Wyszła z nim na korytarz i tam się rozstali.

Ben dość często zaglądał na oddział urazowy, ale unikała go. Ilekroć z daleka dostrzegła go na korytarzu, wchodziła do którejś sali. To samo zrobiła teraz.

- Dzień dobry, siostró - usłyszała za sobą głos.

To Tracy Warren ją witała. Leżała na oddziale, ponieważ podcięła sobie żyły, zrozpaczona śmiercią siostry w wypadku. Czowała się winna, bo prowadziła wtedy samochód.

- Och, gdyby Terry żyła...

- To nie pani wina. - Laura starała się ją uspokoić.

- Nie sposób przewidzieć nagłego pogorszenia pogody. Przecież to kierowca tamtego pojazdu wpadł na was, bo jechał za szybko we mgle.

Tracy Warren odmówiła spotkania z psychiatrą i wszystko wskazywało na to, że zamierza się dręczyć odpowiedzialnością za śmierć siostry.

- Pielęgniarka właśnie poszła po lekarza - poinformowała Laurę słabym głosem.

Żal jej było Tracy. Taka młoda, zaledwie dwudziestoletnia dziewczyna. Miałaby śliczną twarz, gdyby nie zniekształcający ją wyraz rozpacz. Nikt nie zdoła jej pomóc, dopóki sama nie zrozumie, że nie jest winna.

Czyżbym postępowała podobnie? - Ta nagła myśl zaskoczyła Laurę. Przecież też z uporem nie chce zaakceptować wyjaśnień Bena.

Nagle wszedł do salki, zupełnie jakby go przywołała myślami.

- O, nowy pan doktor - zdziwiła się Tracy. - Nie widziałam tu pana wcześniej.

W gruncie rzeczy Ben wszedł tutaj z powodu Laury. Postanowił, że tym razem mu nie umknie.

- W czym mogę pomóc? - zapytał chorą, przyglądając się zakrwawionym bandażom na jej ręce.

- Proszę obejrzeć - poprosiła Tracy.

- Dobrze - odparł, po czym zwrócił się do Susan, która przyniosła nowy opatrunek i antybiotyki. - Proszę powiedzieć doktorowi Russellowi, że ja się zajmę panią Warren.

Pielęgniarka podała Laurze bandażę i wyszła.

Chirurgów wzywano na oddział urazowy tylko w wyjątkowych sytuacjach, domyśliła się więc, że Ben specjalnie przyszedł z nią porozmawiać, zwłaszcza że zbliżała się szesnasta, czyli pora, kiedy kończył pracę w przychodni przyszpitalnej. Bała się tego spotkania, chociaż nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego.

- Proszę zmienić opatrunek, siostró. - Głos Bena wyrwał ją wreszcie z zamyślenia.

Zastosowała się do polecenia. Tracy skrzywiła się z bólu, kiedy przemywała jej ranę. Obok świeżych nacięć otwierały się poprzednie, nie w pełni jeszcze zagojone. Skóra była zaogniona, miejscami sączyła się krew.

- Czy zmierzyłaś chorej temperaturę? - Ben zwrócił się do Laury.

- Ja nie, może zrobiła to siostra Hadley.

- Tak, dostałam już termometr - potwierdziła Tracy. Ben zerknął w kartę chorobową. Zauważył adnotację, że pani Warren nie wyraziła zgody na spotkanie z psychiatrą.

- Musimy pani dać antybiotyk i na kilka dni zatrzymać w szpitalu - powiedział, z troską patrząc na wychudzoną, bladą twarz kobiety.

- Czy pan będzie moim lekarzem? - zapytała błagalnie.

- Nie widzę przeszkód - zgodził się, obdarzając ją swoim charakterystycznym, zniewalającym uśmiechem, o który Laura od dawna była zazdrosna.

- Cieszę się.

Zaskoczył ją po raz kolejny: zjednął sobie i tę pacjentkę, która dotąd skutecznie opierała się leczeniu Martina.

- Czy nie jest pani uczulona na penicylinę? - zapytał i dopiero kiedy usłyszał negatywną odpowiedź, wypisał receptę. - Dam znać, żeby przygotowano łóżko w innej sali - zwrócił się do Laury.

- Czy siostra może sobie wyobrazić, że Terry przychodzi do mnie w snach? - zwierzyła się Tracy, kiedy Laura pomagała jej wsiąść na wózek. - Widocznie jest tam samotna i chce, żebym do niej przyszła.

Laura starała się ukryć przerażenie, jakie ją ogarnęło, kiedy usłyszała te słowa. Unikała Bena, ale w tej sytuacji powinna go odszukać, żeby mu powiedzieć, jak dalece pogorszył się stan psychiczny pacjentki.

Salą, w której przygotowano łóżko dla Tracy, opiekowała się jej przyjaciółka. Otworzyła notatki i wskazała stronę, na której Ben napisał: „Wymaga ciągłej obserwacji”.

- Bardzo się o nią martwię - szepnęła do Sally w nadziei, że namówi koleżankę, by to ona porozmawiała z Benem, ale tamta nie zdążyła nawet odpowiedzieć, gdy wszedł.

Postanowił za wszelką cenę dopiąć swego i porozmawiać z Laurą. Przecież musi ją przekonać, że powiedział jej prawdę o Davidzie i wcale nie kierował się zazdrością.

W jej spojrzeniu wyczytał tęsknotę, mimo że szybko spuściła głowę.

- Powinieneś wiedzieć, co powiedziała Tracy - odezwała się do niego pierwsza. - Potrzebuje natychmiastowej pomocy psychiatrycznej. Twierdzi, że jej siostra czuje się bez niej osamotniona, więc chętnie do niej dołączy.

- Wobec tego jest gorzej, niż przypuszczałem. Zaraz zadzwonię do Addisona i poproszę, żeby ją natychmiast zbadał.

- To dobrze - bąknęła, kierując się ku drzwiom. Ben chwycił ją za rękę.

- Chcę z tobą porozmawiać.

Gdyby raczyła choć spojrzeć na niego, dostrzegłaby nieme błaganie, jednak wyszarpnęła dłoń i rzuciła ze złością:

- Ale ja nie mam ochoty na rozmowę z tobą ani dziś, ani kiedykolwiek indziej. Oprócz spraw zawodowych, oczywiście.

Wybiegła na korytarz, zmierzając ku wyjściu z oddziału, kiedy zobaczyła Martina na progu sali, w której jakieś dziecko krzyczało wniebogłosy.

- Musisz mi pomóc - jęknął.

Maluch wił się z bólu na kolanach matki. Kobieta płakała razem z nim.

- Sądziłam, że pozbierałam wszystkie - zawodziła.

- Co pani pozbierała? - zdziwiła się Laura, patrząc pytająco na Martina, on jednak bezradnie wzruszył ramionami.

- Zerwał mi się naszyjnik i koraliki rozsypały się po całej podłodze - wyrzuciła z siebie kobieta, ocierając łzy.

- Zbierałam je właśnie, kiedy Peter podniósł jeden i zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, wsadził do nosa.

- Proszę się uspokoić, doktor Russell zaraz go wyjmie - pocieszała ją Laura,

- Czy da się to zrobić, panie doktorze? - Matka błagalnie spojrzała na Martina.

- Ależ tak.

Usiłował opanować drżenie głosu. Nie umiał postępować z małymi dziećmi.

Laura podała chłopcu plastikową lokomotywę z kącika z zabawkami. Widząc, że matka nieco się uspokoiła, on też przestał krzyczeć i wyciągnął rączkę po lokomotywę.

- Proszę trzymać go mocno na kolanach, a ja unieruchomię główkę - zwróciła się Laura do matki. - Wtedy pan doktor obejrzy nos i wyjmie koralik.

Starła się mówić opanowanym tonem, ale była pełna obaw, bo jeśli koralik jest maleńki i wszedł za głęboko, to trzeba będzie hospitalizować małego i robić zabieg ze znieczuleniem.

- Czy przywiozła pani jakiś, żebyśmy zobaczyli jego wielkość? - zapytał lekarz.

Kobieta wyjęła z torebki paciorek owinięty w serwetkę. Na szczęście był dość duży. Laura podała Martinowi wysterylizowane szczypce. Chłopiec zaczął okropnie krzyczeć, widząc, co się święci. Lekarz wyteżał wzrok, usiłując w świetle maleńkiej latarki zajrzeć w głąb nosa.

- Widzę go - powiedział z ulgą. W tej samej chwili wszedł Ben.

- Potrzebujecie pomocy? - spytał.

Mały na chwilę przestał płakać, żeby spojrzeć, kto przyszedł, natychmiast jednak zaczął wrzeszczeć ze zdwojoną siłą. Ben zniknął, a po chwili wrócił przebrany w kaftan, na którym widniały duże misie. Takie stroje zakupiono dla szpitala specjalnie z myślą o dzieciach, które bały się białych fartuchów.

- Chodź, usiądziesz mi na kolanach. - Ben wyciągnął ręce ku malcowi. - Razem policzymy niedźwiadki, dobrze?

Chłopiec przestał płakać, a wtedy Ben zaczął liczyć: „jeden, dwa, trzy”, jednocześnie dając znak Martinowi i Laurze, by przystąpili do zabiegu.

- Jak sądzisz, czy któryś z tych misiów ma koralik w nosku? - Ben wskazał na wzór swojej bluzy.

Dziecko skinęło główką. Laura zdjęła z półki prawdziwą zabawkę i podała ją Benowi, domyślając się, do czego zmierza.

- Czy to ten miś ma koralik w nosku? Może sprawdzimy?  
- zapytał.

Laura błyskawicznie podała mu koralik i zapasowe szczypce. Przez chwilę zabawiała małego, aby paciorek mógł powędrować do nosa niedźwiadka. Potem Ben wyjął go szczypcami na oczach dziecka.

- Widzisz?

Oczy chłopca zaokrągliły się z podziwu.

- Teraz w taki sam sposób zajrzę do twojego noska.

Chłopiec nie zdążył nawet zaprotestować, kiedy Ben błyskawicznie wyjął mu koralik. Wszyscy odetchnęli z ulgą, ciesząc się, że mały uniknął niepotrzebnego stresu.

- Ile pan ma dzieci, doktorze? - zapytała matka, pełna podziwu.

- Na razie żadnego - odparł z uśmiechem.

- Świetnie pan sobie radzi, więc sądziłam, że przynajmniej sześcioro - zażartowała.

Zerknął na Laurę, której twarz spąsowiała.

- Kiedyś na pewno będę miał tyle, ale najpierw muszę się ożenić - powiedział cicho.

Laura zauważyła, że uśmiech zniknął z jego twarzy. Ujął ją umiejętnością postępowania z małym pacjentem. Był świetnym lekarzem i porządnym człowiekiem, nie miała prawa tak ostro go traktować. Powinna przynajmniej wysłuchać, co chce jej powiedzieć. Kocha go, więc jeśli go

przekona, że nie ma powodu do zazdrości o Martina... Kto wie? Może zdołają się porozumieć?

Nagle uświadomiła sobie, że jest straszną egoistką. Przecież jeśli się kogoś kocha, trzeba z nim porozmawiać, wysłuchać, spróbować zrozumieć. Uciekła, bo nie mogła znieść myśli, że David wołał raczej skrócić sobie życie, niż zadać jej cierpienie. Nawet jeśli w to nie wierzy, wysłucha Bena.

Uśmiechnęła się do niego ciepło i dostrzegła ulgę w jego oczach.

Widząc, co się dzieje, Martin chrząknął dwuznacznie i wyprowadził matkę z dzieckiem, zostawiając ich samych.

- Lauro...

- Ben...

Powiedzieli to jednocześnie, więc roześmieli się, dzięki czemu napięcie zostało rozładowane.

- Chciałabym z tobą pomówić. Skończyłam już dyżur.

Chwycił jej rękę, jakby się obawiał, że znów mu się wymknie.

- Muszę się jeszcze przebrać.

- Pójdę z tobą, inaczej gotowa jesteś się rozmyślić.

- Nie ucieknę, przyrzekam.

Zmieniła ubranie, po czym pojechali do domu Bena. Otworzył drzwi i podał jej dłoń. Wyczuła, że drży. Przyciągnął ją do siebie i pocałował gorąco, a gdy odsunęła się lekko, gdyż zabrakło im tchu, znów ujął jej rękę i pociągnął w stronę schodów.

- Najpierw porozmawiajmy - zaproponowała.

Nie ufała sobie. Obawiała się, że jeśli będą się kochać, przestanie ją obchodzić, czy Ben kierował się zazdrością, czy jakimiś innymi motywami,

- Czy to konieczne? - westchnął ciężko. Skinęła głową.



- Napijesz się kawy? Może zrobić ci coś do jedzenia? - zapytał.

- Nie jestem głodna, ale chętnie się napiję.

Poszła z nim do przestronnej, nowocześnie wyposażonej kuchni. Na stole stał wazon z różami.

- Zerwała je pani Taylor, która przychodzi do mnie sprzątać - wyjaśnił. - Chcesz zwykłą kawę czy bez kofeiny?

- Zwykłą,

Ręka jej zadrżała, kiedy wzięła od niego kubek. Pili w pełnym napięcia milczeniu.

- Czy na pewno chcesz teraz rozmawiać? - spytał przytłumionym głosem.

- Tak - szepnęła. - Nie możemy się kochać, dopóki sobie wszystkiego nie wyjaśnimy. Zapewniam cię, że nie masz powodu do zazdrości o Martina. Jest tylko moim przyjacielem, poza tym interesuje się Beą.

Uważnie wpatrywała się w jego twarz z obawą, że dojrzy jakiś ślad zmieszania. Przecież spotykał się z Beą.

- Cieszę się - powiedział zadowolony.

Z wyraźną ulgą przyjął wiadomość, że Bea nie robiła sobie nadziei na przekształcenie ich znajomości w poważniejszy związek.

- Więc nie miałeś powodu, żeby kłamać w sprawie Davida.

Była bardzo zdenerwowana i Ben to wyczuł. Wiedział również, że nie uwierzyłaby mu, gdyby jej powtórzył prawdę, którą usłyszała na balu. Za bardzo ją kochał, aby ryzykować. Wolał skłamać, byle tylko nie zniszczyć ich miłości.

- Powodowała mną wyłącznie zazdrość. Czy wybaczysz mi, że byłem taki okrutny?

Miał tak skruszoną minę, że zarzuciła mu ręce na szyję.

- Wcale się na ciebie nie gniewam - szepnęła uszczęśliwiona.

Objęci poszli na górę. Kochał się z nią delikatnie i ostrożnie. Prawie jak David, przemknęło jej nagle przez myśl. Zupełnie jakby było mu jej żal. Uleciała gdzieś dawna płomienna namiętność i gwałtowność.

- Przepraszam, miałem ciężki dzień - usprawiedliwiał się, jakby wyczuwając jej niepewność.

- Nie przejmuj się. - Pocałowała go w policzek.

Czuła jednak, że hamował się nie dlatego, by nie sprawić jej bólu, jak David, lecz z jakiegoś innego powodu. Zaniepokojona, przytuliła się do niego. Objął ją mocno i przez chwilę miała nadzieję, że wzbudzi w nim pożądanie i znów będą się kochać. Odwrócił ją jednak plecami do siebie, przygarnął z czułością i po chwili zasnął. Może to tylko zmęczenie, pocieszała się.

Obudził ją o ósmej, kiedy przyniósł herbatę do łóżka.

- Może wyjdziemy coś zjeść? - zaproponował.

Musiał przed chwilą wziąć prysznic, bo miał mokre włosy. Biła od niego energia, która ją zniewalała. Kochała go i pragnęła gorąco, ale tym razem w jego oczach nie dostrzegła pożądania.

Sypialnia tonęła w słońcu, które oświetlało połowę twarzy Bena, drugą pozostawiając w cieniu. Uśmiechał się, ale w nienaturalny, wymuszony sposób. Wyczuwała w nim jakąś niezgłębioną powagę.

- Wolałabym zjeść coś tutaj - odpowiedziała, starając się ukryć rozczarowanie, gdyż sądziła, że Ben będzie wolał spędzić z nią ten dzień w domu.

- Nie zrobiłem zakupów, lodówka jest dosyć pusta.

Czyżby to była wymówka? Może wcale nie chce, żeby została?

Widocznie dostrzegł wahanie w jej oczach i odgadł myśli, bo powiedział:

- Choć nie, poczekaj. Mam trochę warzyw i jajka. Zrobię omlet.

Nie wydawał się jednak uszczęśliwiony tym pomysłem. Gdyby знаła prawdziwy powód nagłej zmiany w jego zachowaniu, kamień spadłby mu z serca. Świadomość, że jednak skłamał, by przestało ją dręczyć poczucie winy w stosunku do Davida, ciążyła mu ogromnie.

- Przyniosłem ci szlafrok. Ręczniki powiesiłem w łazience.

- Dziękuję.

Onieśmielona sięgnęła po okrycie. Co się stało? Przecież kiedy się kochali pierwszy raz, nie wstydziła się nagości.

Stała pod prysznicem dłużej niż zwykle, jakby się bała zejść na dół. Coś się zmieniło w ich związku, czegoś w nim zabrakło.

Kiedy weszła do kuchni, smażył omlet.

- Czy mogę ci pomóc? - spytała.

- Nie, dzięki. Sałatka jest już na stole. Mam nadzieję, że będzie ci smakowała. Nalej sobie wina.

Podał jej talerz z omletem i usiadł naprzeciwko.

- Jest pyszny. Świetny z ciebie kucharz - pochwaliła.

- Dziękuję, że to zauważyłaś, ale po ślubie ty będziesz się zajmowała gotowaniem.

- A to dlaczego? Czyżbyś nie uznawał partnerstwa w małżeństwie?

- Absolutnie nie.

- Będziesz się musiał tego nauczyć - oznajmiła z uśmiechem.

Wstał i wyciągnął do niej rękę, a kiedy znalazła się naprzeciw niego, powiedział:

- Oboje musimy się jeszcze wiele nauczyć, ale będziemy mieli na to mnóstwo czasu.

Ujął jej twarz w dłonie i delikatnie, jak David, pocałował ją w usta. Zadrżała - nie z podniecenia, lecz ze strachu. Czuła, że traci coś bardzo cennego. Nie wiedziała dlaczego.

Zauważył lęk w jej oczach i pocałował ją jeszcze raz - po przyjacielsku, serdecznie, niemal po ojcowsku.

Miała ochotę krzyczeć z rozpaczy. Gdzie się podział jej wspaniały kochanek?

- Co się stało? - spytała.

- Nic, kochanie - odparł, próbując ją znów przyciągnąć do siebie.

Nie zdołał jej oszukać.

- Nie musisz się ze mną obchodzić jak z porcelaną.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że tak robię.

Irytowała go ta sytuacja, ale nie widział dobrego wyjścia. Nieudane pożycie tego dnia, do tego świadomość, że ją okłamał, iż mówiąc o Davidzie kierował się wyłącznie zazdrością, przepełniły miarę.

Dla Laury myśl o tym, że go traci, była nie do zniesienia.

- Przepraszam - szepnęła błagalnie, zarzucając mu ręce na szyję. - Tak mi przykro.

Przytulił ją i mocno pocałował. Jakież znaczenie ma nielojalność wobec samego siebie, skoro jego ukochana kobieta jest szczęśliwa?

Laura trzymała go mocno, jakby desperacko chciała zatrzymać tę chwilę na zawsze.

Zaniósł ją do sypialni. Kochali się z dawną gwałtownością, niecierpliwie i z pełnym oddaniem. Niepotrzebne były żadne gry miłosne, bo stęsknieni nie mogli się siebie doczekać. Wszystko stało się szybko, ale tym razem nie zabrakło ekstazy. Oczy Bena były pełne radości, kiedy patrzył później na rozpromienioną twarz swojej kobiety. Gdy odwzajemniła jego spojrzenie, wyczytał w nim wdzięczność i uczucie spełnienia.

- Kocham cię - szepnął.

Wyciągnęła dłonie i ujęła jego twarz. Ucałowała jego powieki, a potem usta.

- Ja też cię kocham, Ben.

Tę noc spędziła u niego w obawie, że rozstanie zmaści ich szczęście. Przecież tak niewiele brakowało, by go straciła.

Podczas śniadania nagle oświadczył:

- Powinniśmy przyspieszyć ślub.

- Muszę się poważnie zastanowić nad tą propozycją - zażartowała.

- Uważaj, co mówisz, bo nie pójdziemy po pierścioneńki zaręczynowy.

- Nie dbam o błyskotki, bylebym miała ciebie - szepnęła, patrząc mu w oczy z płomienną miłością.

- Nigdy nie wyjdziemy do pracy, jeśli będziesz mi mówiła takie rzeczy.

I pomyśleć, że tak cudowne będzie nasze życie, kiedy się pobierzemy, przemknęło jej przez myśl, gdy wsiadali do samochodu.

- Wysadzę cię na rogu - zaproponował, dojeżdżając do szpitala. - Nie chcę, żeby plotkowali na twój temat.

Wysiadając zwróciła uwagę na dwóch rozbrykanych chłopców, którzy rzucali w siebie tornistrami. Tknięta niedobrym przeczuciem, zatrzymała się z ręką na klamce drzwi.

- Coś się stało? - zapytał Ben z niepokojem, widząc, że nagle poblądła.

- Ci chłopcy...

Jeden z nich stracił równowagę i upadł na jezdnię, wprost pod koła nadjeżdżającego samochodu, który na szczęście przed zakrętem zwolnił.

Ben i Laura w jednej chwili znaleźli się przy leżącym chłopcu.

- Jestem lekarzem - wyjaśnił Ben, wpatrzony w twarz dziecka, bladą, ale przytomną. - Gdzie cię boli?

- Moja noga... - Chłopiec usiłował wstać, jednak z jękiem upadł na jezdnię.

- Leż spokojnie - nakazał Ben. - Sprawdzę, czy nie odniosłeś innych obrażeń.

- Jak się nazywasz? - spytała Laura.

- Jason Brown - poinformował ich kolega chłopaka. - On ma dwanaście lat.

- Wygląda na to, że poza złamaniem nogi nic ci nie jest - stwierdził Ben.

Wokół nich zebrał się tłum ciekawskich. Na chodniku siedział kierowca samochodu, najwyraźniej w szoku.

- On po prostu wpadł mi pod koła - powiedział, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało.

- Pojedzie pan z nami - zdecydowała Laura, patrząc z niepokojem na jego poszarzałą twarz. Mężczyzna wyglądał na około pięćdziesiąt lat.

- Ale ja muszę do pracy... - Spojrzał na nią roztargnionym wzrokiem.

- Później, kiedy minie szok.

- Może ma pani rację. Dwa lata temu miałem operację serca.

Ben miał telefon w samochodzie, wezwał więc karetkę. Przyjechała po kilku minutach, razem z policją. Laura opowiedziała, jak doszło do wypadku, po czym pojechała karetką do szpitala z Jasonem i kierowcą, który go potrącił.

- Powinien pan przez kilka dni zostać w szpitalu - przekonywała mężczyznę.

- Wolalbym od razu wrócić do domu, ale ze względu na żonę... Ona niedawno miała poważną operację ginekologiczną.

Godna podziwu troska, pomyślała Laura. Czy ja też tak postępowałam wobec Davida? Czy zapewniłam mu dobrą opiekę? Uspokoila się jednak, bo wiedziała, że nie ma sobie nic do zarzucenia. Poświęciła się całkowicie.

Starala się zagłuszyć dręczące ją myśli, ale ostatnio coraz częściej wspominała męża, zwłaszcza od czasu wyznania Bena, że David sam zrezygnował z chemioterapii.

- Zadzwoń zaraz do pańskiej żony - przyrzekła mężczyźnie, usiłując się skoncentrować.

Przed wszystkim jednak poszła się przebrać, bo zaaferowana pracą nie zdążyła tego zrobić po przyjeździe do szpitala. W pokoju spotkała siostrę Jackson.

- Cóż to, podobno przyjechałaś dziś razem z doktorem Kendricksem? - Siostra Jackson spojrzała na nią z ukosa.

Laura miała ochotę powiedzieć, że nie tylko przyjechali, ale również spali razem, w ostatniej jednak chwili ugryzła się w język.

- Jednocześnie znaleźliśmy się w miejscu wypadku - rzuciła zgodnie z prawdą.

- Ach, tak? - Siostra Jackson uniosła brwi z miną wskazującą, że i tak nie wierzy.

Reszta dnia upłynęła na rutynowym doglądaniu chorych. Ben wstąpił do niej, kiedy kończyła dyżur.

- Jak się ma nasz nowy pacjent? - spytał.

- Złożono mu nogę i przewieziono na oddział dziecięcy. Jego kolega zawiadomił rodziców.

- Spotkałem narzeczonego Sally. Wkrótce będziemy u nich na weselu. Marzę, żebyśmy i my jak najszybciej się pobrali.

- Ja też - szepnęła, patrząc na niego tak ciepło, że wciągnął ją do gabinetu i mocno pocałował.

Słyszając czyjeś kroki, wyszli szybko na korytarz i skierowali się do samochodu.

- Jedziemy do ciebie czy do mnie? - zapytał.
- Muszę wpaść do Sally po stroik do sukni, przecież jestem jej druhną - powiedziała z żalem.
- A później?
- Nie mogę się z tobą spotkać. Jestem zaproszona na ostatni paniński wieczór Sally.
- No cóż, to przyjedź później. Laura roześmiała się radośnie.
- Chyba lepiej wrócę do siebie. Musimy się wyspać. Dojechali właśnie pod jej dom. Ben zgasił silnik i długo całował ją na pożegnanie, tak że w końcu zaczęła żałować, iż spędzą tę noc osobno.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dzień ślubu Sally był niezwykle pogodny. Panna młoda miała na sobie piękną kremową sukienkę z koronki, skrojoną tak, żeby wyszczuplała figurę. Wyglądała elegancko i promieniała szczęściem.

Laura ubrała się na różowo, w dopasowaną garsonkę, odsłaniającą zgrabne nogi i podkreślającą jej doskonałą sylwetkę. Ben patrzył na nią zachwycony. Niestety, nie mógł podejść do druhny, zaangażowanej w uroczystości. Mogli porozmawiać dopiero po lunchu, wydanym w tej samej restauracji w parku, w której Ben z Laurą byli niedawno na kolacji.

- Jak się czuje Tracy? - zainteresowała się Laura.

- Przenieśliśmy ją na oddział psychiatryczny. Addison mówi, że robi postępy. A co z tym chłopcem, który został potrącony przez samochód? - spytał Ben.

- Ma nogę w gipsie, ale wrócił już do domu.

- Miło słyszeć dobre wiadomości, ale przede wszystkim powinienem ci powiedzieć, że wyglądasz prześlicznie w tej sukni. Może poszlibyśmy gdzieś potańczyć?

- Niezły pomysł. Łatwiej mi będzie zapomnieć, że straciłam najbliższą przyjaciółkę.

Najpierw pojechali jednak na Rosemary Gardens, gdyż Ben chciał się przebrać w wieczorowy garnitur. Kiedy zszedł na dół, Laura spojrzała na niego z uznaniem. Umiał się ubrać.

Widząc uwielbienie w jej oczach, objął ją i szepnął:

- A może zostaniemy w domu?

Ze wzruszenia nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Czy twoje milczenie oznacza zgodę?

Zamiast słów, z jej ust wyrwało się westchnienie. Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Rozbierał ją ostrożnie i powoli. Kochali się potem gwałtownie, ale tym razem Laurę ogarnęła jakaś dziwna desperacja. Pragnęła zatrzymać wspólnie

spędzone chwile, jakby się bała, że jakaś niepojęta siła odbierze jej ukochanego mężczyznę. Czy ten niepokój miał swoje źródło w czułości okazywanej jej przez Bena? Był nie mniej podniecony niż ona, wyczuwała to przecież, ale coś go cały czas powstrzymywało, chociaż starał się to zatuszować każdym pocałunkiem, każdą pieszczotą.

Zjedli prostą kolację, podczas której ponowił pytanie o termin ślubu.

Przyjrzała mu się uważnie w obawie, że jednak dojrzy w jego twarzy cień zwątpienia, ale jego oczy wyrażały bezgraniczną miłość.

- Nie mogę się doczekać - odpowiedziała wzruszona.

- Czy twoi rodzice przylecą z Kanady?

- Szczerze mówiąc, nie znoszę wielkich ceremonii.

Wolałabym cichy ślub w malutkim kościółku.

Ben ścisnął jej dłoń.

- Załatwię wszystko według twojego życzenia. Tak się składa, że brat mojej matki jest księdzem w małej parafii niedaleko Ledborough. To znakomite miejsce.

Wstała zza stołu i zarzuciła mu ręce na szyję. Wziął ją na kolana i przytulił z czułością.

- Jeśli nie przestaniesz mnie kusić, będę zbyt wyczerpany, żeby uczestniczyć w swoim własnym ślubie!

Roześmiała się, spojrzała mu w oczy uwodzicielsko i... wrócili do sypialni.

W niedzielę rano snuli plany na przyszłość, a po południu pojechali do kościoła, do wuja Bena. Uzgodnili, że pobiorą się za miesiąc, w końcu września.

- Rodzinę zawiadomimy dopiero po fakcie i urządzimy dla nich skromne przyjęcie, za to dzień ślubu będzie wyłącznie dla nas - powiedział Ben w drodze powrotnej.

Wysadził ją pod jej domem.

- Do zobaczenia jutro - obiecał.

W poniedziałek miała nocny dyżur. Pracy było sporo, więc pod koniec zmiany odczuwała ogromne zmęczenie i z ulgą myślała o powrocie do domu.

Pozostał jej tylko jeden pacjent, któremu należało zmienić opatrunek, kiedy na oddział wpadli z impetem dwaj młodzi mężczyźni. Jeden z nich miał rozciętą głowę, po jego twarzy spływała struga krwi.

- Ktoś rozwalił Harry'emu łeb butelką - powiedział ten drugi.

Laura zaprowadziła poszkodowanego do izby przyjęć. Jego kolega ruszył za nimi.

- Proszę usiąść w poczekalni - zwróciła się do niego. - Zobaczycie się, kiedy założymy szwy.

W gabinecie zabiegowym urzędowała siostra Baxter, która właśnie zaczęła dyżur. zaproponowała koleżance, że dopilnuje pacjenta, skoro jej dyżur dobiega końca.

Zmierzając ku wyjściu, Laura nie mogła opanować niepokoju. Harry patrzył na nią beczelnie, zupełnie jakby się z niej naśmiewał. Mijając poczekalnię, zauważyła, że drugi z mężczyzn zniknął. Nagle usłyszała hałas dobiegający z sali intensywnej terapii. Pospieszyła tam i otworzyła drzwi. Kolega Harry'ego pakował właśnie do torby strzykawkę, igły, ampułki i inne rzeczy - wszystko, co było w zasięgu ręki.

- Przeczuwałam, że coś nie jest w porządku - powiedziała, podchodząc do niego. - Czy to pan rozciął głowę Harry'emu?

Mężczyzna wykrzywił twarz i chwycił Laurę za rękę, zsuwając jej torebkę z ramienia. Zawartość torebki rozsypała się. Lakier do włosów, który właśnie kupiła, potoczył się po podłodze. Napastnik podniósł go i prysnął strugą roztworu prosto w twarz Laury.

Zakryła oczy ręką i po omacku ruszyła w kierunku, w którym słyszała kroki uciekającego i... jeszcze jednej osoby. Czowała piekący ból w oczach.

Dotarły do niej odgłosy zamieszania, po czym usłyszała obok siebie głos Bena:

- Nie dotykaj oczu, Lauro.

Domyśliła się, że to jego ramiona uniosły ją delikatnie i położyły na wózku reanimacyjnym.

- Wpuszczę krople, żeby uśmierzyć ból - zwrócił się do pielęgniarki - a potem trzeba wypłukać oczy roztworem soli fizjologicznej. Proszę mi pomóc, siostró.

Po wykonaniu zabiegu trzymał ją za ręce. Nie widząc, rozpoznała jego dłoń, chociaż dotykał jej bardzo ostrożnie.

- Niedługo poczujesz się lepiej, kochanie - szeptał czule. - Po przemyciu oczu założymy opatrunek. Nie bój się, przez cały czas będę przy tobie.

- Dziękuję - odpowiedziała cicho. Bardzo pragnęła zobaczyć jego twarz.

Podczas płukania oczu zastosowano znieczulenie miejscowe. Wiedziała, że został przy niej przez całą noc, bo mówił siostrze dyżurnej, że sam się nią zajmie.

Zasnęła, a kiedy się zbudziła, poprosiła, żeby pojechał do domu odpocząć.

- Chcesz się mnie pozbyć? - zażartował.

- Nigdy - odpowiedziała, wyciągając ku niemu rękę.

Ujął ją w swoją dłoń i pocałował lekko. Ze wzruszenia rozplakała się. Zwilgotniałe od łez tampony trzeba było zmienić. Jego obecność okazała się zbawienna. Kto mógł przypuszczać, że jest taki opiekuńczy! Kiedy zmęczony zasnął, długo rozmyślała. Nagle uświadomiła sobie, jaki jest wspaniałomyślny. Powiedział jej prawdę o Davidzie, ale widząc, że nie może się z nią pogodzić, udał, że to zazdrość podyktowała mu te słowa. Zrobił to z miłości do niej, tak samo jak kiedyś mąż.

Rano okulista miał sprawdzić, czy nie nastąpiło uszkodzenie wzroku. A jeśli przestanę widzieć? Nagle ogarnął ją paniczny strach.

Zrozumiała, że David znalazł się w podobnej sytuacji. Nie chciał jej obarczać ciężarem swojej choroby. Postanowiła tak samo postąpić wobec Bena. Kocha go tak bardzo, że oszczędzi mu cierpienia, bo przecież jego udreka byłaby nie mniejsza niż jej.

Kiedy się obudziła, Bena nie było w pokoju. Wyczuła to natychmiast, bo zawsze, kiedy się rozstawali, ogarniało ją poczucie pustki. Trzeba się do tego przyzwyczaić, przekonywała samą siebie, bo jeśli stracę wzrok, będę musiała go zostawić.

Znów zawładnął nią paniczny strach. Usłyszała jednak czyjeś kroki, a po chwili mocna dłoń ujęła jej rękę.

- Przestraszyłaś się, że mnie nie ma? Wyszedłem tylko się odświeżyć.

- Nie - skłamała. - Dopiero się obudziłam. Drzwi otworzyły się ponownie.

- Przyszła siostra, żeby cię umyć, więc zostawię was na chwilę - powiedział Ben. - Potem zbada cię okulista.

- Ale wrócisz zaraz?

Pytanie wymknęło się jej, zanim zapanowała nad sobą. Jaka jestem słaba, pomyślała. Przyrzekała sobie, że zwróci mu wolność, a tymczasem błaga, by został, bo nie chce być sama, kiedy okulista postawi diagnozę.

Poczuła na ustach delikatny pocałunek.

- Oczywiście, nie martw się, wszystko będzie dobrze. Starał się ją uspokoić, ale głos mu lekko drżał, zdradzając zdenerwowanie.

Siostra zakończyła zabiegi higieniczne i teraz Laura w napięciu czekała na specjalistę. Ben zabawiał ją rozmową, próbował pocieszyć, ale natrętne myśli wciąż nie dawały jej

spokoju. To okropność nie widzieć, jak liście brązowieją jesienią, jak niebo zmienia kolor, czy wreszcie jak ukochany patrzy na nią z miłością. Czy poradzi sobie w świecie ciemności? Czy się dostosuje?

Pochłonięta ponurymi rozmyślaniami nie słyszała, co do niej mówił, wyczuła jednak w jego głosie ogromną troskę. Czyżby się domyślał, co ją trapi? Może nawet odgadł, że zamierza go opuścić, gdy uszkodzenie oczu okaże się nieodwracalne?

Wreszcie przyszedł okulista. Delikatnie usunął tampony i przemył jej powieki, ale wciąż bała się otworzyć oczy. Przemogła się po długim naleganiu lekarza. Nieostro, jak przez mgłę, dostrzegła pochyloną nad sobą twarz.

- Widzę - szepnęła i coś ścisnęło jej gardło.

Potem lekarz zakroplił oczy i zbadał wzrok oftalmoskopem.

- Wszystko w porządku. Przez jakiś czas może pani jeszcze odczuwać ból, ale to minie po kroplach, które przepiszę. Na razie proszę nosić ciemne okulary. Czy jest w domu ktoś, kto się panią zaopiekuje?

- Tak - odpowiedział za nią Ben.

- Czyżbym był świadkiem romansu? - Okulista uśmiechnął się dobrodusznie.

- Owszem, wkrótce Laura zostanie moją żoną.

- Gratuluję - odparł lekarz, dyskretnie zostawiając ich samych.

- Cóż, moja droga. Odpocznij chwilę, a potem się ubierzesz. Jedziemy do domu - oświadczył Ben.

Do domu z Benem! Co za radość! Udręka tej nocy skończyła się wreszcie, choć twarz Laury wciąż jeszcze nosiła znamiona cierpienia.

Ben patrzył na nią ze łzami w oczach. Jakże ją kochał! Świadomość, że mógł ją stracić, spotęgowała to uczucie.

Domyślił się, co planowała. Wiedział, że nie zgodziłaby się wyjść za niego, gdyby uszkodzenie wzroku okazało się trwałe.

Delikatnie wziął ją w ramiona i pocałował. Odwzajemniła pocałunek żarliwie. Czuła się tak, jakby nagle odzyskała coś najcenniejszego.

Kiedy przyjechali na Rosemary Gardens, Ben wręczył jej klucze, mówiąc:

- Witaj w domu. Kupiłem go, więc jest teraz naszą własnością.

- Ależ ja mam szczęście - szepnęła wzruszona do łez, przytulając się do niego.

Spragnieni siebie, poszli powoli na górę.

- Muszę ci coś wyznać - powiedziała w sypialni.

- Jesteś w ciąży? - spytał uradowany.

- Nie. Zrozumiałam wreszcie, że wtedy... powiedziałeś mi prawdę o Davidzie. - Łzy znów stanęły jej w oczach.

- Nie płacz, kochanie. David chciał, żebyś była szczęśliwa. Naprawdę próbowałem go przekonać do chemioterapii. Podawałem za przykład swoją matkę, której ta metoda przedłużyła życie o trzy lata.

- Chemioterapia potrafi zdziałać cuda, prawda?

- Oczywiście. Ale w przypadku mojej matki i Davida operacja była bezcelowa. Nowotwór okazał się zbyt zaawansowany.

Milczeli przez jakiś czas, dopóki nie minął smutek z powodu utraty bliskich. Potem Ben nakazał jej odpoczynek, a sam zajął się drobnymi pracami w domu, za to w nocy kochali się, zapominając o cierpieniach.

Poczucie winy spowodowane tym, że podobali się sobie jeszcze za życia Davida, a także żal Laury i obarczanie Bena odpowiedzialnością za to, że jej mąż nie poddał się chemioterapii, zniknęły niczym liście zimową porą, przygotowując grunt dla wiosny, wiosny ich wspólnego życia.

Zbudziło ich poranne słońce, wpadające przez firanki.

- Kocham cię, Lauro - szepnął Ben, przytulając ją mocniej.

- A ja ciebie - odpowiedziała wzruszonym głosem.

- Czy wiesz, że w tym domu jest aż pięć sypialni? - zapytał, mrugając zabawnie.

- I co z tego?

- Byłoby wielkim niedopatrzeniem, gdybyśmy ich nie zapelnili.

- Niby w jaki sposób?!

- Czy pamiętasz matkę chłopca, któremu koralik utknął w nosie? Pytała, ile mam dzieci.

- Aha - jęknęła. - Pamiętam też twoją odpowiedź!

- Zdecydowałem się na sześcioro - przypomniał jednak.

- Sześcioro?! - Otworzyła usta, udając przerażenie.

- Chyba pora przystąpić do dzieła, nie sądzisz? Roześmiała się.

- Skoro nalegasz...

Poddając się tkliwym pieszczotom, upajała się radością. Być kochaną przez takiego mężczyznę jak Ben to prawdziwe szczęście!